Nr. 10. Warszawa, dnia 26 Lutego (10 Marca) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

Skutkiem wyczerpania się numerów ze Stycznia i Lutego, prenumeraty za te dwa miesiące przyjmować nie możemy.

POLITYKA.

ŻAŁOŚLIWY JĘK.

Publicystyka na Zachodzie, nazywana słusznie szóstem wielkiem mocarstwem, dopóki ich było pięć — jest rzeczywiście potęgą; tylko, aby ją za potęgę uznać, potrzeba ściśle dziedzinę jej wskazać i wskazaną ograniczyć. W tem właśnie międzynarodowem czy międzypaństwowem życiu, w jakie ją wtłacza epiteton „mocarstwo,“ znaczy ona nic, albo bardzo mało i w rzadkich tylko momentach dziejów. Zazwyczaj jest tu tylko woźnym, laufrem, heroldem, niekiedy sługą prawdy, najczęściej—kłamstwa, a wielekroć bywa też i błaznem gabinetów rzeczywiście robiących politykę międzynarową. Znaczenie, wpływ i siła jej istotna objawiają się w kręgach wewnętrznego życia narodów - ich umysłowości politycznej, a w części i moralnej, zbiorowo-społecznej i jednostkowo-etycznej. Nastrój narodu w górniejszych chwilach dziejowych, trwałe jego usposobienie na szarych płaszczyznach czasu, ujemne czy dodatnie prądy, drgnienia i porywy właśnie od publicystyki, od prasy bądź wcielającej w siebie rzetelną, bądź też przedrzeźniającej albo fałszującej niewcieloną publicystykę — zależą. Publicystyka mieści się w szkole życia — jest jej oddziałem, klasą, katedrą. Całe społeczeństwa do niej chodzą, całe narody są jej uczniami. I w tem powołaniu swojém, w tej funkcyi nauczycielskiej jest ona rzeczywiście mocarstwem, które dziejom nowożytnym odmienne od dawniejszych nadaje formy.

Jako oddziaływacz społeczny publicystyka — na podobieństwo jednostki ludzkiej, na podobieństwo całej natury — daje zarazem i bierze: jest i organem do pełnienia funkcyi i przewodnikiem ruchu, który w nią z zewnątrz wchodzi. Wzajemna ta endosmoza i exosmoza umysłowo-uczuciowa ustala stosunek organiczny, w którym niepodobna jednego ogniska życia oderwać od drugiego bez zniszczenia samego życia w nich obu. Bez prasy żyć by nie mogło społeczeństwo, które ją raz posiadło; bez tego nieustannie pałającego ogniska, tej wielkiej masy niegarnionego tłumu, tego bezimiennego olbrzyma, który środek swój ma wszędzie, a ograniczonego obwodu nie ma nigdzie — bez społeczeństwa w nowożytnem pojęciu—prasa byłaby zbiorem figlików literackich, artystycznych i pseudonaukowych — jeśliby już zupełnie w literaturę i naukę wykładaną literami zamienić się nie chciała. Jak niepodobna wyobrazić sobie człowieka bez pamięci i narodu bez historyi, tak trudno jest wyobrazić sobie społeczeństwo prawdziwie żywe i zdrowe bez tej funkcyi, jaką pełni publicystyka. Nie samą zaspakaja ona tylko ciekawość: wytwarza też samowiedzę. Tam, gdzie jest, jest prawdziwą mocarką; ma prawa wielkie, ale i obowiązki straszliwe. Rozsiadła się nad wielką rzeką wypadków bieżących: zatrzymuje fale, bije tamy, urabia łożyska — potoki całe posyła w przyszłość.

W prasie angielskiej niema czasopisma bardziej wpływowego od *Timesa*. Założony przed 120 laty, zrazu organ poglądów maluczkich, później mała trąbka pospolitego mieszczaństwa londyńskiego, podczas wojen Konsulatu i Cesarstwa dźwięczny dzwon patryotyzmu, około r. 1848 nawrócony na nowe idee, odtąd przez lat kilkanaście zasłuchany pilniej w głosy ludów, niż gabinetów, po wojnie francusko-niemieckiej przeszedł na wiarę funta sterlinga i stał się wielką tubą londyńskiej City, giełdy, doków i kantorów przemysłu i handlu wszechświatowego. Co ma w sobie bogaty kupiec, ma i on — przedewszystkiem pieniądze. Jest dziś milionerem, o ile przekonanie godzi się z milionami — ma przekonania; o ile kupiec może być patryotą — ma patryotyzm; namiętności kupca są jego namiętnościami. „Great empire“ - wytworzone przez Dizraelego, „Greater Britain“ — wyszlifowane przez Frende'ów i Dilke'ów — wprawiają go w ruch równie dobrze, jak każdego plutokratę londyńskiego: dumnym jest z wielkości angielskiej, ze słońca, które w posiadłościach angielskich nie zachodzi, z flagi, która po wszystkich oceanach powiewa. Apetyt wielkości, jakiego doznaje uzłocony obywatel City, jest apetytem *Timesa* — apetyt żarłoczny: trafi się Zulu — to Zulu, Egipt — to Egipt, Birma — to Birma; wicher dziejowy przyniesie Boera — Boer będzie schrupany. Twardy, oporny, ale się w końcu nie ostoi.

Pochłonięcie Boerów, zbudowanie drogi żelaznej od Assuanu do Capetownu przez czyste posiadłości angielskie z pomocą jakiego dyplomatycznego wyrwasa, któryby dał przystęp do jeziora Tanganyika — jest ideałem narodowym Anglika, a zatem i wielkohandlowy londyńskiego, i *Timesa*. Już dwa tygodnie temu ten roznosiciel ideałów narodowych, pląsający naokoło złotego cielca, zagroził Transwalowi zupełnym

podbojem i zgotowaniem mu losu Alzatczyków. Z Transwalem się załatwił, ale pozostała jeszcze prasa europejska — ta jej część, którą bądź współczucie człowiecze, bądź interes polityczny stawiały po stronie słabszych, opadniętych, na zagładę dziejową skazanych: z nią teraz rozprawia się herold żarłoczności narodowej. Nigdy naród angielski nie obudził w innych narodach takich nienawiści, jak obecnie. A za co? Sam przecież nigdy nie żywił dla nikogo uczuć nieprzyjaznych Sroga krzywda wydobywa jęk z czeluści samolubstwa; ale z wrażenia jej szybko naród angielski, prowadzony przez *Timesa* i jemu podobnych — ochłonie. Oszczercy otworzyli mu oczy, ale oszczercy zaszkodzić mu nie zdołają. Przeciwko sobie ma Anglia kogo?—reporterów — reporterowie zaś nie mają ani żołnierzy, ani dział. Ujadać sobie będą bezsilni, a z pośród silnych nikt palca nawet nie zakrzywi, bo nikt małej, miejscowej wojenki afrykańskiej nie odważy się rozdmuchać w pożar wielkiej wojny powszechnej. Tem się pociesza w swej jadowitej trwodze — i ma słuszność: nikt palca nawet nie zakrzywi. Małym dziecięciom w obcych narodach o tysiąc dwieście mil od pola walki wolno płakać nad Cronjem; dojrzały nie rządzi się czułością. Idee i ideały po za polityką; w polityce — interes.

Tydzień polityczny. Nie tak prędko staną Anglicy w Bloemfontein, jak się spodziewali po po Paardebergu. Joubert zagrodził im drogę ponad Modderem, pod Osfontein. Były już pierwsze utarczki. Siły Boerów znaczne, front rozległy, rezerwy muszą sięgać do Winburga, dokąd z Natalu, po zupełnym odwrocie, przeniosły się wojska Jouberta w przeszłym tygodniu. Z Ladysmithu Anglicy pomykają już na północ i zachód. Za tydzień, gdy wojsko Bullera i załoga ocalała wypoczną, można już przewidywać wtargnięcie do Transwalu od wschodo-południa, a wtedy nawet przy małem powodzeniu Robertsa przeciw Joubertowi, stanowiska Boerów nad Modderem nie byłyby bezpieczne. Wśród Orańczyków niezgoda — walczyć, czy uledz odrazu? Anglicy chcą doprowadzić siły swoje do 100 tysięcy. O pośrednictwie nie słychać. W sejmie włoskim świeżo wyrażono życzliwość Boerom; w Stanach Zjednoczonych w Izbach i w społeczeństwie jest dużo współczucia; nie brakuje go w Europie: ale to wszystko ma wartość połysku na duszach: Boerów nie wyżywi.

We Włoszech Izba dała rządowi odpuszczenie grzechów za rozporządzenie administracyjne z lipca r. z., ograniczające swobody konstytucyjne: uchwaliła formalne prawo kagańcowe.

We Francyi rząd doznał w d. 5 b. m. porażki o złodzieja Philippe'a, który kradł i sprzedawał wiadomości z ministeryum marynarki; nabywcami byli Anglicy. Waldeck prawdopodobnie przebuduje gabinet.

Sejm cesarstwa przyjął w drugiem czytaniu „Lex Heinze“ — w obronie moralności kiełznanie myśli.

ŻYCIE SPOŁECZNE

OSTATNIA PRZEMIANA PANA NOSSIGA.

Przed kilku dniami księgarz berliński nadesłał nam w paczce „nowości“ literackich zeszyt (8-o, str. 46), zatytułowany: *Polityka pokoju powszechnego. Zbliżenie się Niemiec i Francyi, oraz Unija kontynentalna* (Die Politik des Weltfriedens. Die deutsch-französische Annäherung und die Kontinentalunion). Wyrazy te czerwono odbite mają oczywiście budzić sensacyę. Jako autor figuruje dr. Alfred Nossig, jako nakładca— znany wydawca narodowo-pruski, H. Walther. Broszura liczy już dwa wydania.

Pierwsze wrażenie, jakie odbieramy — jest to uczucie zdziwienia. „Cóż to, i Saul między proroki?“ Znaliśmy p. Nossiga jako poetę („Tragedya myśli,“ „Poezye,“ „Jan Prorok“), jako publicystę-socyologa („Prawo ludności,“ „Hygiena społeczna“), jako krytyka literackiego, rzeźbiarza, wreszcie jako syonistę, ale nie znaliśmy go dotychczas jako polityka. Warto tedy przyjrzeć mu się w tym nowym ubiorze z bliska. Co zacz jest, co przynosi, czego chce, dokąd zmierza.

Asumpt do napisania swej broszurki wziął autor z wojny transwalskiej. Wojna ta zadała kłam (mniema on) cudnym zamiarom utrwalenia pokoju powszechnego, których wyrazem była konferencya w Hadze, ale z drugiej strony przyczynia się do rozwoju stosunków międzynarodowych w kierunku stałego pokoju powszechnego. Sprężyną tego rozwoju ma być fakt, że nagle wszystkim mocarstwom europejskim spadło bielmo z oczu i odsłoniły się w całej nagości rzeczywiste zamiary i siły Anglii. Dzięki materyalizmowi zaborczemu Anglii, wystąpiło w całej pełni przeciwieństwo jej interesów do korzyści Francyi, Niemiec, Rosyi i wszystkich wogóle państw europejskich, posiadających kolonie. Albowiem plan powiększenia tytułów królowej angielskiej o nowy jeszcze, a mianowicie zamiar Chamberlaina, aby koronować ją, za przykładem Disraelego (cesarzowa indyjska) na cesarzową Afryki, zamiar opasania jedną obręczą wpływu „Większej Brytanii,“ krajów od Kairu do Przylądka Dobrej Nadziei — to wszystko zagraża interesom kolonialnym Francyi, Niemiec, Portugalii, Holandyi. Otóż autor mniema, że do odległego ideału pokoju powszechnego prowadzi droga przez wielki alians mocarstw współczesnych. Dziś są możliwe dwie tylko takie kombinacye dyplomatyczne: albo przymierze transoceanowe, któreby objęło Anglię, Amerykę i Niemcy, albo liga kontynentalna, złożona z Francyi, Rosyi, Austryi i Niemiec. W obronie pierwszej kombinacyi kruszą kopie imperyaliści i ich *leader*, Chamberlain, aliści wobec tego jest oczywistem dla autora, że byłaby ona grobem pokoju powszechnego. Polityka bowiem zewnętrzna Anglii — wygodnie tu autorowi powołać się na Kanta — była zawsze w sprzeczności z jej liberalizmem wewnętrznym i poszanowaniem praw jednostki. W przymierzu tem Anglia, *jako posiadająca najsilniejszą marynarkę*, miałaby zawsze przewagę, i tu czyha śmierć na starą cywilizacyę europejską, cywilizacyę humanitarną, na której miejscu zapanowałaby cywilizacya amerykańska *business* u i etyka angielska *Chartered Company*, Cham-

---

7)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

WIDOK 8.

Przez mleczne szkła lamp rozlewało się po sypialni łagodne, blade światło. Koko, rozbierając króla do snu, bawił go żartami.

Koko.

Wdzięczność jest to kasa z dwoma okienkami: jedno, zawsze otwarte, ma napis: „dziś się przyjmuje,“ drugie, zawsze zamknięte, ma napis: „jutro się wypłaca.“ Najniższym ze wszystkich procentów od kapitału jest procent wdzięczności: grosz od miliona i to najczęściej fałszywy.

Król.

Prawdę mówisz, mój chłopcze.

Koko.

Jeżeli kto, to już chyba hrabina Lagor miała dość powodów, ażeby być wdzięczną. Przecież wiem dobrze, ile miłych sobót przepędziła z moim najlepszym panem, a jednak...

Król.

Chciała być poddanką ładnego kuzynka. Tron w sercu kobiet jest elekcyjnym i zawsze wakującym.

Koko.

To byłoby jeszcze nic, ale ona zrobiła rzecz daleko gorszą: powiedziała wszystko mężowi.

Król.

Co takiego?

Koko.

Muszę się przyznać, najjaśniejszy panie, że zapruszyła mi oko garderobiana hrabiny. Otóż ta dziewczyna powiedziała mi pod sekretem, że jej pani, spostrzegłszy wchodzącego męża, zawołała: „Nie zbliżaj się do mnie, bo niegodna jestem twego dotknięcia. Byłam kochanką króla. Idę do klasztoru pokutować za moją hańbę, a ty mu podziękuj za twoją krzywdę.“

Król.

A to łotrzyca! Cóż on?

Koko.

Podobno padł na krzesło złamany, zakrył twarz rękami i wyszeptał: ja jej wierzyłem, a za niego walczyłem. Hrabina zniknęła.

Król.

Niegodziwa... niewdzięczna...

Wzdrygnął się całem ciałem.

Lagor musi być przekonany, że ona rzuciła na mnie potwarz przez zemstę za uwięzienie i śmierć Ryta.

Koko.

W oszukanego męża łatwo wmówić, że nie ma rogów, ale trudniej nakłonić ludzi, ażeby ich na jego głowie nie widzieli i nie wskazywali. Zresztą podobno Ryto zostawił jakiś testamencik na ścianie.

Król powstał gwałtownie z jedną nogą bosą, z której mu Koko zdjął trzewik.

Król.

Pomimo to wszystko ja zostanę królem.

Sapiąc wzburzony, usiadł.

Rozbieraj mnie prędzej!

Koko.

Zresztą, czy warto nawet zaprzątać sobie pamięć taką hrabiną Lagor, która już zaczęła więdnąć, ma męża i chciała mieć kochanka, kiedy, jak mówią, córka Mirola jest młoda, nie ma męża, ani kochanka.

Król.

Skąd ty wiesz o tem wszystkiem?

Koko.

Niestety, najtajniejsze myśli monarchów brzmią głośniej, niż najjawniejsze słowa poddanych.

Król.

Zadzwoń — pomodlę się.

Koko pociągnął za jedwabny sznur — w kopule na galeryi odezwał się dzwonek. Czekając tego znaku, orkiestra zagrała modlitwę wieczorną. Król ukląkł do pacierza. Zdawało się, że muzyka zbiera szept jego pobożnych słów i odnosi do nieba. Lekkiemi skrzydłami odrywała się ona od ziemi i leciała wysoko, tak wysoko, jak tylko mógł sięgnąć natchniony geniusz jej twórcy. Król skończył pacierz i położył się

berlainów i Jamesonów. W ostatecznym rezultacie za podziałem kuli ziemskiej nastąpiłby dzięki temu przymierzu przewrót w stosunkach terytoryalnych Europy: w pierwszej połowie XIX wieku Austrya znalazłaby się w archiwum historyi, po Holandyi i jej koloniach nie zostałoby śladu, Francya mogłaby być przepołowioną, Hiszpania zdegradowaną do poziomu-kolonii Stanów Zjednoczonych.

Aliści kombinacya taka nie jest ani stałą, ani prawdopodobną, gdyż nie posiada żadnego podkładu interesów materyalnych. Niemcy przystąpią do niej tylko w ostateczności, a mianowicie wtedy, gdy *nie będą mogły zapewnić sobie dość silnej floty* własnej i sprzymierzonej, gdy przekonają się, że kolonie swoje zachować i utrzymać będą w stanie tylko przy pomocy Anglii, a nie na przekór Anglii. O ileż bardziej wolałyby one iść przeciw Anglii, od której oddzielać je zaczyna coraz większa przepaść współzawodnictwa na rynku międzynarodowym; wolałyby tedy zmiażdżyć ją przy pomocy ligi kontynentalnej, której myśl podał pierwszy hr. Gołuchowski, „mąż stanu o szerokich i donioslych poglądach, odnowiciel polityki europejskiej“ *); a od Niemiec zależy dziś przechylenie szali w tę lub inną stronę. Unia kontynentalna znalazłaby swój wyraz w porozumieniu się mocarstw europejskich celem wspólnego poręczenia sobie rozwoju kolonialnego przemysłowego i handlowego, a oparta byłaby na *wzmocnieniu marynarki* tak poważnem, aby mogło ono przeciwważyć flotę anglo-amerykańską. Byłaby ona najskuteczniejszą gwarancyą pokoju, albowiem w ten sposób stałyby naprzeciw siebie dwie potęgi olbrzymie i równe, a takie nigdy nie chwycą za broń: walka bywa jedynie między silniejszym a słabszym. Dlatego też unia oddaćby mogła przysługę nawet Anglii: zapewniłaby jej część należną (?), a wyleczyłaby z próżnego apetytu zaborczego. W granicach Europy pokojowej postęp cywilizacyi mógłby powoli przynosić różne zmiany, gwarantujące panowanie prawa przed siłą; wstrząśnienia byłyby wykluczone, wszelka nowa aneksya — uniemożliwiona, nietykalność Austryi oraz Turcyi — poręczona. Wszystkie zmory uciekają: kwestya żydowska znajduje swe rozwiązanie w Palestynie, którą mocarstwa oddadzą syonistom dla rozkolonizowania (rozumie się z pozostawieniem miejsc świętych pod wyłącznym zarządem chrześcian).

A na to wszystko trzeba tylko jednej rzeczy: zbliżenia się Francyi z Niemcami. Autor podczas swego pobytu w Paryżu zauważył i nagromadził wiele objawów, świadczących o tem, że Francuzi, wobec chciwości i arogancyi Anglii, zaczynają rozumieć jego potrzebę. Nietylko nawiązują się stosunki naukowe i literackie pomiędzy Niemcami a Francyą, ale poważni i wpływowi publicyści radzą „postawić krzyżyk nad Alzacyą i Lotaryngią“ (Ferry), a przy współudziale Niemiec myśleć o zabezpieczeniu kolonij od drapieżnych lwów Anglii. Przyczynia się do tego wielce rycerskie stanowisko Wilhelma II, który nie szczędzi Francuzom dowodów swej kurtuazyi. Niemcy ze swej strony dadzą Francyi wszystko, z wyjątkiem Strasburga i Metzu. A mogą jej ofiarować prezent królewski: przyczynią się do tego, aby zatoka Delagoa z przepysznym portem Lourenço-Marquez przeszły z pod władzy Portugalii w ręce francuskie. Czyhają na nią Anglicy. Dla Francuzów zaś ma owa zatoka olbrzymie znaczenie, zarówno jako stacya węglowa i jako droga, po której odpłyną z Madagaskaru produkty rolnicze na rynki Afryki południowej. To ma dla Francuzów znacznie większą wagę, niż odwet alzacki. Dziś powinni jasno dać do zrozumienia, że pragną zgody z Niemcami, a zarazem z Austryą i Rosyą. Przedewszystkiem zaś powinni być grzeczni w dobie zbliżającej się wystawy wszechświatowej, którą pragnie gorąco odwiedzić cesarz niemiecki, a boi się nieco piania koguta galijskiego.

Nie zajmowalibyśmy uwagi czytelnika treścią tej nikłej pracy: w pustyni słów — *vox, vox, praeterea nihil* — wypowiedzianych i przesypanych z pytla dyplomatów na pytel dziennikarzy z okazyi różnych starych i rzekomo nowych kombinacyj międzynarodowo - prawnych, pomysł p. Nossiga jest drobną zaledwie garsteczką suchego piasku, ale nie żadną oazą, nęcącą przechodnia soczystością i życiem swego krajobrazu. Ileśmy się już naczytali różnorakich traktatów, pełnych scholastycznej mądrości, broszur, „przyczynków,“ wizyj proroczych, zapisanych w rocznikach bibliografii od chwili, kiedy wielki mędrzec królewiecki napisał swoje „opusculum“ w sprawach wiekuistego pokoju (1795). I zawsze ten sam omłót najczęściej pustej słomy, przekładanej z sąsieka w sąsiek, przenoszonej z pokolenia w pokolenie, z Austryi do Włoch (*via* Solferino), z Anglii do Francyi (*via* Faszoda) itd. Jeżeli zaś uczyniliśmy to i wypełnili aż kilka szpalt opowieścią o najnowszej pracy — że tak powiemy — literackiej p. N., to mieliśmy jedynie na względzie nasz do autora stosunek.

Był czas, kiedyśmy się zachwycali p. Nossigiem nietylko jako poetą. Pamiętamy siebie młodem chłopięciem, kiedy w gronie piątoklasistów zaczytywaliśmy się jego „Tragedyą myśli,“ kochaliśmy z nim i nienawidzili, uczyli na pamięć całych ustępów z jego poematu młodzieńczego. Powoli ten urok mijał: „Poezye“ Nossiga były już nam zupełnie obce — wiał od nich jakiś haszysz Wschodu, biły od nich jakieś niezdrowe tchnienia lupanaru sułtańskiego. Potem przyszedł „Jan Prorok“ — rzecz dziwaczna i źle napisana, jakieś pożegnanie stron rodzinnych, wypowiedziane obojętnie i z twarzą odwróconą od świata dawnej miłości. W akcie drugim swej sztuki życiowej znalazł się p. N. w Wiedniu, pracował w dziennikarstwie niemieckiem, a jednocześnie zasilał pisma warszawskie, nic nam już wtedy nie dawał — przestał być żywym czynnikiem rozwoju literatury rodzimej, ale kolportował sztukę i wiedzę Zachodu — byliśmy mu wdzięczni. Akt trzeci ma miejsce w Paryżu. Stąd przysłał nam zupełnie nową

*) Myli się autor: pomysł ligi kontynentalnej (*środkowo*-europejskiej) jest już bardzo stary i po raz pierwszy podniesiony został w drugiej połowie naszego stulecia przez Konstantego Frantza, powtórzony następnie przez L. Gumplowicza. Tylko że ten pomysł miał zupełnie inny zakrój: tam chodziło o rzeczywistą cywilizacyę, o prawdę, o sprawiedliwość. Podnoszono również myśl utworzenia ligi celnej środkowo-europejskiej; z takim projektem wystąpił do Bismarcka znany ekonomista francuski, de Molinari. Zajmowano się nią również na ostatnim kongresie rolnym międzynarodowym w Budapeszcie 1896 r.

---

do łóżka, a pieśń wciąż brzmiała coraz ciszej, coraz łagodniej, jak gdyby już jej tony dobiegły do boga i z nieba na ziemię rzucały dalekie echa. Nareszcie umilkła — król zasnął.

WIDOK 9

W skalistem czole jednej ze smuklejszych gór Orabu, nad stromym wąwozem, nad którym wiła się między gęstymi krzewami płowa ścieżka, wykute było ciasne, słabo okienkiem rozświetlone, gęstą plecionką z łyka i chrustu u wejścia od wiatru zasłonięte siedlisko ludzkie. Oprócz kamiennego tapczana stały w niem na półce urny z prochami zmarłych pustelników, których ciała po śmierci lud palił i tu przechowywał. Pogodny dzień jesienny, jak gdyby nie doznał żadnej troski, z wesołem obliczem nieba i czerstwem zdrowiem ziemi przygotowywał się do snu, mył się w obfitej rosie i słał sobie łoże z miękkich cieniów wieczoru, zapaliwszy bladą lampę księżyca, zanim jeszcze słońce zgasiło swoje ognisko. Krysto przy resztkach jego światła czytał z wielkiej księgi, siedząc na progu pustelni.

Krysto.

„A wtedy rzekł Arjos do uczniów swoich: „Muszę rozstać się z wami na czas dziesięciu dróg słońca i dziesięciu dróg księżyca i wrócę do siebie.“ — „Alboż będąc między nami, nie jesteś u siebie, mistrzu?“ — „Nie, bracia moi — odparł Arjos i nauczał ich. Wierzcie i zapamiętajcie słowa moje: domem każdego człowieka jest samotność jego. Kto wychodzi z niej między ludzi, ten udaje się w podróż, z której jak dobry gospodarz winien powrócić i zobaczyć, czy wszystko jest w porządku i sprawiedliwości. Ja dawno nie byłem w domu moim, muszę zajrzeć do niego, naprawić, co się zepsuło i usunąć, co złego weń wpadło.“ — „A gdzie przebywać będziesz, mistrzu? — zagadnął go drugi uczeń. Dokąd posyłać mamy za tobą nasze myśli i tęsknoty?“ — „Pozostanie z wami nauka moja, która was nie opuści, jeśli wy jej nie opuścicie. O mnie wiedzieć będzie tylko bóg, który mi wskaże, co mam uczynić w domu moim.“ Na to odezwał się najmłodszy z uczniów: „Nie będziesz w samotności, mistrzu, skoro będziesz z bogiem.“ Arjos go zgromił: „O Dalonie, Dalonie, dusza twoja jest jeszcze w powiciu. Azaliż słońce, gwiazdy, niebo, ziemia, powietrze są towarzyszami twoimi? A bóg jest wszystkiem, także rozumem naszym, wolą naszą, sumieniem naszem. Od niego jednego nie oddalisz się nigdy, bo on jest tobą, chociaż ty nie jesteś nim.“ — Ukląkł w promieniach zorzy wieczornej i modlił się: „Ojcze nasz, nie zasłaniaj tajemnicą przed dziećmi, które cię poznać i wielbić pragną, ani mądrości twojej, ani woli twojej. Racz przyspieszyć czas, w którym ostatni z prostaczków dostrzeże obecność, zrozumie wszechmoc i oceni dobroć boga swojego. A gdy się oddalę od tej gromadki, rozkaż wszechświatowi, ażeby jej wyraźniej opowiadał chwałę stwórcy.“ Wstał i odszedł brzegiem jeziora, zawijając się coraz bardziej w cienie drzew.“

Pustelnik przestał czytać, a oczy jego stężały w nieruchomem spojrzeniu i omgliły się zadumą. Na jego twarzy zaczął się powoli rozlewać wyraz zadowolenia, a z ust spadać kroplami w ciszę urywany szept.

Tak, jestem u siebie... Powróciłem nakoniec do mojego domu z długiej, okropnej podróży... Dużo w niej straciłem... Nie porzucę siebie już nigdy, nigdy... Człowiek może być szczęśliwy tylko w świecie własnym. Dlatego zadowolony jest bóg, bo żyje w świecie, który sam sobie stworzył.

Przerzucił kilka kartek i czytał dalej:

„Kiedy Arjos w towarzystwie uczniów wychodził ze wsi Pora, w której nauczał, zabiegł mu drogę pewien młodzieniec i rzekł: „Poradź, mistrzu, stroskanemu sercu mojemu. Wyrywa się ono do ciebie, ale nie chce oderwać się od tej, którą ukochałem. Mamże pójść za tobą dla zbawienia duszy mojej, czy za nią dla szczęścia mojego?“ Arjos odpowiedział: „Każdemu włożył bóg cząstkę światła swojego, która jest duszą człowieka. Są niewiasty, które w mężach gaszą te iskry, i są inne, które je rozdmuchują. Jeżeli oblubienica twoja roznieca w tobie tę świętą iskrę, jako wielki i czysty płomień, przy którym wyraźniej widzisz boga, pozostań z nią, bo ona czyni z tobą to, co ja bym uczynił. Ale jeśli przez nią uczuwasz we wnętrzu twojem zimny popiół i groźną ciemność, która ci

pracę niemiecką — wcale dobry szkic hygieny społecznej, o którym *Prawda* zamieściła w swoim czasie wzmiankę życzliwą. Od tego czasu nie słyszeliśmy o panu N. Opowiadano, że został „rzeźbiarzem,“ że cyzeluje medaliony, że wstąpił w szranki bojowe syonistów i że zapowiada się świetnie w tych nowych kierunkach. Dziwiły nas te skoki od ekonomii do medycyny, od poezyi i dramatu do socyologii, od rzeźby do syonizmu — gdy przychodziło nam na myśl przysłowie: *qui trop embrasse, mal étreint,* ale wprawiały w podziw, gdyśmy przypominali sobie złe strony specyalizacyi.

Dotąd atoli wszystko było w porządku. Wolno w winnicy Pańskiej siać, jakiego kto chce gatunku, ziarno, wolno obierać, jaką kto zapragnie działalność — nam nic do tego. „Po owocach sądzić go będziesz.“ Prawo krytyki rozpoczyna się tam, gdzie się czyny ludzkie różniczkują na dobre i złe, na pożyteczne lub szkodliwe, na uczciwe lub w obłudzie a złej wierze poczęte.

Jak rzekliśmy, dotąd było wszystko w porządku. Ale późną jesienią r. z. doszła nas wiadomość, że p. N. zamienił Paryż na Berlin i że zaciągnął się w szranki prasy berlinskiej. I to nie powinno nas dziwić. P. N. snać podszyty jest „Żydem wiecznym tułaczem“ — i co lat parę zmienia miejsce zamieszkania, język literacki, zwyczaje, znajomych, przyjaciół — gnany koniecznością przyrodzoną... Ale że różnemi, niejednorodnemi, wzajem się wykluczającemi są ogniwa łańcucha, który wyobraża prasę berlińską, pytaliśmy tedy — zawsze tylko ciekawi, ale nie zgorszeni jeszcze — gdzie, u stóp jakiego sztandaru, wkoło czyjego ogniska rozłożył p. N. gospodarstwo swoich myśli i swoich talentów. O zgrozo: Nossig poszedł na służbę do Pindtera. „Gdzie się kończy rozum, tam zaczyna się niepoznawalne“ — powiada Spencer. Pismo półurzędowe, forteca naszych nieprzejednanych wrogów, rycerzy „krwi i żelaza,“ wykarmionych nektarem Fryderyków i ambrozyą Bismarcka, opoka wszelakich hakatyzmów — oto katedra, z której p. N. śle przyjaciołom swoim najnowszą „dobrą nowinę.“ Nie dość jednak na tem. W *Norddeutscherce* prowadzi p. N. fejleton estetyczny „Z lotu ptaka“ (Aus der Vogelschau). Tam za mało ma miejsca i sposobności do wypowiadania swoich przekonań, a przytem mógłby — w dobie współczesnego rozpasania pseudoestetycznego — rzucić nam w twarz dumne słowa Bacona: *Sol et cloacas, affluit et tamen non polluitur* (Słońce i nad gnojowiskiem świeci, a jednak pozostaje czystem), więc sztuka, ta najnowsza, ta naga, bezideowa, próżna i bezcelowa sztuka, wznosić może swoje ołtarze, rozsnuwać swoje tęczowe przędze wszędzie, między ostatecznościami światów fizycznych i... moralnych. Wtedy byłby p. N. tylko śmiesznym — tym komizmem trefnisia, deklamującego wiersze modernisty z nad Tamiży, Sekwany albo Wisły. Ażeby tedy nie budzić śmiechu, tylko inne zupełnie wrażenie, aby wszelkie wątpliwości co do zdolności swoich w zakresie ekwilibrystyki rozproszyć — zatańczył nam p. N. „taniec klasyczny“ na cześć prusactwa.

Nie jest to taniec solowy, albo właściwie mówiąc, rola p. N. jest tu — drugorzędną: wykonywa on swoje *pas* na stronie, w środkowym zaś punkcie stoi kto inny. Zupełnie jak w znanej scenie uwodzenia z „Roberta dyabła,“ tylko że tutaj p. N. pełni funkcye całego zjednoczonego baletu.

W owym punkcie środkowym, na którego oświetlenie tęczowym blaskiem wszelakich doskonałości sili się cała pyrotechnika teatralno-literacka autora — stoi, ni mniej, ni więcej, Napoleon— nowy Napoleon... pokoju. „Cesarz Wilhelm jest Napoleonem pokoju.. Jeżeli zaś broni on, zanim nastąpi chwila wielkich postanowień, interesów swojego kraju, gdzie tylko nadarzy się ku temu sposobność, to spełnia tylko obowiązek panującego-patryoty. Można atoli żywić przekonanie, że on nie zapomni przytem ani interesów wspólnych Niemcom i państwom ościennym, ani sprawy pokoju. Cesarz Wilhelm jest Napoleonem Pokoju i pozostanie nim, a jeśli przytem umie zapewnić korzyść Niemcom bez rozlewu krwi (Samoa), to co najwyżej składa tem dowód, że zasługuje także na nazwę Bonapartego pokoju...“ Słowem, jest to — „koronowany apostoł wielkiej idei.“

. . . .

Czas płynie i płynie. Czas, ów Saturn, co własne pożera dzieci. Czas, owa wielka rzeka, która na brzegi swoje wyrzuca wszelakie wykrzywione, skurczone, rozmiękłe cielska topielców i topielic. Wchłania w siebie owa bezkresna rzeka i idee — i uczucia. Gdziekolwiekbądź i kiedykolwiekbądź, między biegunami czasu i przestrzeni, strzeliła ci w oko błyskawica takiej idei, owionął cię gorący, serdeczny płomień takiego uczucia. Trwało to chwilę. I wołałoś z poetą: *O Augenblick, verbleibe doch, du bist so schön!* Minęła. A potem stanąłeś za pługiem na twoim, przez przeznaczenie czy przypadek ofiarowanym ci zagonie i odwracałoś skibę po skibie. Ale jeżeli sama idea, samo uczucie minęło — żyło jednak wspomnienie. Tymczasem zas wstajesz kiedybądź o świcie — a tu u progu leży jakaś cuchnąca, robaczywa masa: to *idea* — topielica: tu znowu psy przywlokły jakąś odpadłą od tułowiu kość — przyglądasz się: stary znajomy, miłość dni wiosennych — *uczucie*: zapadło się w ił rzeczny i wypłynęło na brzeg...

Oto jak wracają do nas owe idee: jako szczątki sponiewierane; oto jak wracają uczucia — poszargane kałem ulicznym, bezimiennym kałem motłochu obryzgane.

Był ongi poeta, któremu Bóg objawiał się w „gorejącym krzaku,“ w „burzy Synaju,“ w „cichym powiewie wiatru,“ a dziś majestat „tragiczny Myśli“ przeobraził się w pobrzękujący dzwonkami Pierota majestat Chwili; zamiast Giordana Bruna ukazują się w polu widzenia potrzeby marynarki niemieckiej *) zamiast protestu przeciwko krzywdzie wszechludzkiej — serwilizm niewolnika, zamiast oskarżenia — pozbawiona nawet osłonek koronkowych serenada miłosna na motyw: *Ave Caesar!*

Taką jest ostatnia przemiana p. Nossiga. Tak wygląda trubadur Giordana — w pikelhaubie.

*) Praca p. Nossiga ukazała się w chwili, kiedy rząd niemiecki dokłada wszelkich starań, aby pozyskać większość w parlamencie dla nowych projektów powiększenia marynarki. Podkreśliliśmy wyżej w wykładzie broszury ustępy związane z marynarką niemiecką, razi nas bowiem ta dziwna harmonia... apetytów rządu niemieckiego i autora.

---

zamracza boga — pójdź za mną.“ A zwróciwszy się do uczniów, rzekł: „Tylko bóg jest jeden, a ja nie jestem jeden, który do niego wiodę. Każdy, kto kocha, idzie do niego i prowadzi tych, których kocha. Miłość jest gwiazdą najmocniej świecącą w w tronie stwórcy. Miłość jest progiem nieba: kto tego progu nie przestąpi, nie wejdzie do krainy życia wiecznego. Wierzcie mi, bracia moi, ten młodzieniec znalazł prostszą drogę do boga, niż wszyscy, którzy jej szukali rozumem. Wracaj do oblubienicy twojej, bo bóg jest między wami.“ W tej chwili przysunął się tłum niewiast, które ścigały uciekającą przed niemi młodą kobietę w poszarpanych szatach, rzucając na nią kamieniami. Przypadła ona do nóg Arjosa i zawołała w przerażeniu: „Ratuj!“ — „Za cóż ją prześladujecie?“ — zapytał Arjos. — „Wszetecznicą jest—krzyczały niewiasty — czarami grzesznego ciała swojego odciąga od nas mężów i oddaje ich szatanowi.“ — „Czemuż nie załamiecie nad nią rąk — rzekł Arjos — i nie płaczecie, kiedy jest nieszczęśliwą?“ — „Co on mówi?“—pytały zdumione niewiasty.— „O, tak — rzekł Arjos — litujcie się nad nią, bo ona nikogo nie kocha. Nieszczęśliwszym jest ten, kto w sercu nie ma żadnej miłości, niż ten, kto ma w niem wszystkie cierpienia.“

Krysto odjął oczy od księgi, na którą ciemność położyła już czarne plamy. Pomimo że gwiazdy coraz gęściej zapalały się nad nim, on coraz bardziej zanurzał się w mroku. Dopiero gdy księżyc oblał go strumieniem srebrzystej jasności, odbiła się wyraźnie postać pustelnika, który bladą twarz z łzawemi oczami zwrócił ku niebu. Powstał, podniósł ręce do góry i zawołał z boleścią:

Czemuż tylko człowieka zakułeś w kajdany tajemnic, boże? Wszystkim tworom dałoś całą mądrość życia, błądzi tylko ten jeden, którego nazwałeś najdoskonalszym, a uczyniłeś najsłabszym. Ten nędzny mech, który depczę, ten unikający światła dziennego nietoperz, który koło mnie krąży, wiedzą wszystko, czego im potrzeba, a ja, władca świata, nic nie wiem. Dumny błazen i męczennik siedzę na tronie ukoronowany cierniowym wieńcem zagadek, które mi przebijają czaszkę aż do mózgu. Wyczerpuję nieskończoność dziurawym mózgiem, jak dziecko morze sitem, ażeby się przekonać, co jest na dnie. Dążę do prawdy, jak głupiec do słońca, który obszedł wokoło ziemię i znalazł się na miejscu, skąd wyszedł. Dlaczegóż ja muszę rozumieć niety1ko siebie, jak ten świerk lub śpiący na jego gałęzi ptak, lecz wszystkich i wszystko?

Usiadł i opuściwszy głowę, mówił cicho:

Któremu z tych świateł mam zaufać? Czy dobrą moją przewodniczką była gwiazda chwały, która mnie przez bród krwawy przeprowadziła? Czy ten promień, który wpadł w ciemną duszę moją i drży w niej, jak struna z boskiej lutni odpięta? Chyba najpewniejszym rozumem człowieka jest jego instynkt...

Wszedł do swej pustelni, ujął stojący na kamiennym stole drewniany wizerunek Arjosa, przybitego do słupa i rzekł wzruszony:

Ty, najczystszy kryształe ducha boskiego w ciele ludzkiem, ożyj i daj mi jedno słowo, którego niema w Zakonie twoim, a którego łaknie serce moje. Powiedz mi tylko: czy ty jesteś we mnie, a ona w mej? Milczy, ciągle milczy, a przecież on nie wszystko ludziom wyjawił...

Postawił wizerunek, przyniósł księgę z dworu, rozłożył ją na stole i zapaliwszy lampkę, czytał. Do komnatki wtłoczyły się cienie, obstąpiwszy ciasnym kręgiem światełko w którem widniała pochylona głowa Krysta. Śpiąca ziemia oddychała spokojnie w chłodzie nocy jesiennej pod granatowym i rzęsiście wygwieżdżonym namiotem nieba. Już na wschodzie zaczęła przeciekać jasność brzasku, a pustelnik jeszcze czytał cicho lub głośno. Zatrzymał się nad słowami:

„Ból twój, Bionie, jest kroplą w oceanie bólów świata, a ty go uważasz za sól, rozpuszczoną we wszystkich kroplach tego oceanu. Czujesz cudze cierpienia tylko wtedy, gdy w nich rozpoznajesz goryczł własnego.

(C. d. n.).

PARANA.

II.

Zchwilą, gdy żywioł niemiecki skupił się prawie wyłącznie w miastach, zagarnął tam przemysł i handel, ludność polska stworzyła gęstą sieć kolonij i zajmuje się przeważnie uprawą roli. Osady naszych wychodźców ciągną się wzdłuż brzegu Ignasu, tudzież linij kolejowych. Na kresach kolonizacyi dotychczasowej powstała duża osada galicyjska, licząca kilka tysięcy ludności. Dziś, gdy już urzędy kolonizacyjne należą do przeszłości, warunki osiedlenia w ciągu trzech lat ostatnich zmieniły się zasadniczo. Po ciężkim okresie przejściowym, po zagładzie słabych i niezaradnych utrzymał się i oparł wszelkim niepowodzeniom żywioł dzielniejszy. Już w drugim roku po przybyciu każdy osadnik może się wyżywić z kawałka wyrobionej przez siebie ziemi. Kukurydza dochodzi na niej w cztery miesiące, żyto w trzy, kartofle w cztery po zasadzeniu. Zamiast domu wystarczy szałas sklecony z tarcic; ubrania ciepłego nie trzeba, gdyż zimy właściwej niema. Gdy kolonista posiądzie konia, krowę, wieprza, kury, mnożące się z niesłychaną szybkością, to już może myśleć o zarobkach pobocznych. Niektórzy idą o mil kilkanaście do robót przy budowie kolei i dróg kołowych, pozostawiając gospodarstwo na opiece kobiet, inni pracują jako flisacy na galarach, piłują tarcice z araukaryi i cedrów na budowę chałup. Najdostępniejszym atoli rodzajem zarobku prawie od pierwszej chwili osiedlenia, jest zbieranie tak zwanej herbaty paragwajskiej *(herva mata)*, która porasta obficie w lasach Parany i jest najważniejszym artykułem wywozowym. Dr. Siemiradzki zaznacza, że malutkie miasteczko, S. Matheus, założone w r. 1892, na ostatnim podówczas krańcu linii kolonizacyjnej, już w r. 1897 wywiozło 1,800,000 kilogramów tej rośliny. „Robotnicy polscy szybko się nauczyli sposobu jej suszenia uchodzącego za wyłączną tajemnicę leśnych Brazylianów — a okazali się tak pojętnymi uczniami, iż dzisiaj za „hervę" suszoną przez Polaków hurtownicy płacą o 10% cenę wyższą, aniżeli za brazylijską. Kupcy - pośrednicy, nabywający „hervę" na rachunek większych eksportów, płacą z pierwszej ręki 10—12 franków za „cargueirę" (120 kilokr.)."

Zręczny robotnik może przygotować do handlu tygodniowo 3—4 cargueiry, a ponieważ zbiór trwa przez dziesięć miesięcy w roku, więc praca w tak długim okresie jest bardzo produkcyjna. Na handlu tą rośliną kilku drobnych kupców, Mazurów, porobiło znaczne majątki. Niejaki Onufry Flizikowski, Mazur galicyjski, po kilkunastu latach pracy uczciwej stał się posiadaczem kilku mil kwadratowych lasu i łąk w S. Matheus; jego zaś szwagier, Nadolny, kapral pruski, jest właścicielem tartaku i młyna. Ale to są najdawniejsi osadnicy, więc mieli czas dorobić się fortuny. Prof. Siemiradzki podaje, jako przykład, chłopów, przybyłych przed pięciu laty z liczną rodziną i dziećmi i z rękami do pracy, bez żadnych innych zasobów, którzy dziś majątek swój szacują na kilkanaście tysięcy (między innymi Sempoliński z pod Mławy, właściciel 150 morgów gruntu doskonale wyrobionego, albo Szlązak Mazgała, który wynalazł nowy piec do suszenia hervy). „Śród kolonistów, którzy tutaj przybyli w najcięższym okresie — mówi prof. Siemiradzki - przeszli głód i nędzę, zdzierstwo i wybryki rozpasanego żołdactwa podczas wojny domowej, nie widziałem ani jednego, któryby po kilku latach pobytu na los swój się skarżył. Zagadnąłem naumyślnie najuboższego z kolonistów, którego różne prześladowały nieszczęścia. I ten jednak nie lamentował ani rozpaczał, a na zapytanie moje, czy nigdy nie żałuje, że tutaj przybył, odpowiedział mi wręcz: „Czego? Tu ja sobie sam panem, żaden ekonom mi nad karkiem nie stoi i nikomu wysługiwać się nie potrzebuję." W kraju był parobkiem gdzieś w Kutnowskiem."

Kolonie polskie w pobliżu Curityby są zamożne, przypominające zewnętrznie wioski niemieckie. Koloniści polscy są jedynymi dostawcami artykułów spożywczych do stolicy. Wychodźcy nasi budują kościoły własnym kosztem i zakładają szkółki. W dawnych osadach polskich, w okręgu Curityba, Campo Largo, S. Joseph dos Pinhaes istnieje już dzisiaj pięć takich szkółek elementarnych pod kierunkiem organistów. Nadto, tu i owdzie pozakładano czytelnie, z których ludność polska skwapliwie korzysta. Są to zaledwie przebłyski oświaty, ale jest nadzieja, że się ona rozwinie pod każdym względem. Z kraju napłynęło tam sporo młodzieży inteligentnej, przeważnie nauczycieli i rzemieślników, którzy będą stanowili żywioł pożyteczny w rozwoju oświaty.

Najnowsza grupa osad galicyjskich, w głąb lasów posunięta, rozwija się równie pomyślnie, dzięki wybornej glebie. Budująca się obecnie kolej z Ponta Grossa do Porta Uniao, będzie miała także poważne znaczenie dla kolonistów polskich w tych miejscowościach.

Wogóle warunki kolonizacyi polskiej w Paranie są korzystne. Stoi atoli na przeszkodzie bardzo ważny szkopuł: finansowe bankructwo rządu brazylijskiego i ogromny brak gotówki. Skutkiem tego leżą bezużytecznie olbrzymie obszary lasów, przeznaczone na parcelacyę, niema bowiem funduszów potrzebnych na opłacenie pomiarów parcelacyjnych. Z tego właśnie powodu od r. 1897, tj. do chwili skasowania urzędów emigracyjnych, około 3,000 wychodźców galicyjskich pozostało bez ziemi; nadto corocznie około 1,000 emigrantów polskich, przybyłych do Curityby, nie może znaleźć dla siebie ziemi na warunkach dostępnych. Skutkiem takiego stanu rzeczy osiedlenie odbywa się w sposób następujący: „Na żądanie konsulatu austryackiego rząd stanowy odstawia emigranta na którąkolwiek z zapełnionych już całkowicie kolonij z listem do chłopa, który pracował niegdyś przy geometrze. Ten prowadzi nowego przybysza w las po za granice kolonii, nie troszcząc się wcale o to, czyją on jest własnością i odmierzywszy mu parcelę 200 metrów wszerz i 1,000 wzdłuż, pozostawia go swemu losowi. Zazwyczaj jednak po kilku tygodniach lub miesiącach okazuje się, iż grunt należy do jednego z miejscowych obywateli brazylijskich, który też intruza przy pomocy sąsiadów, częstokroć z bronią w ręku, wyrzuca, zagarniając owoce jego pracy dla siebie." Reklamacye przez konsulat są długie i uciążliwe; zwykle zaś cała sprawa kończy się na tem, iż wyrzuconego kolonistę umieszczają gdzieindziej, po to, ażeby pierwej czy później powtórzyło się to samo.

Stosunki takie są następstwem hojnego niegdyś szafowania gruntów skarbowych. Rząd ponadawał wielu osobom tak zwane koncesye na kolonizacyę, z obowiązkiem osiedlenia na nich prawem przepisanej liczby rodzin rolniczych. Z warunków tych rzadko kto się wywiązał. Rząd więc odebrał koncesye, ale pomimo to, dzięki łapówkom i protekcyi, zatwierdza prawo własności pojedynczym koncesyonaryuszom. Skutkiem tego większość gruntów skarbowych wplątana jest w procesy, które zazwyczaj rząd przegrywa.

Taki stan rzeczy odbił się fatalnie na położeniu nowych wychodźców polskich, nieposiadających odpowiedniej ilości gotówki dla nabycia ziemi po cenach wysokich od właścicieli prywatnych. Muszą oni tedy tułać się po kraju i szukać zarobków. Względy te wywołały pracę organizacyjną zaradczą w lwowskiem Towarzystwie handlowo-geograficznem. Mianowicie stworzono spółkę polską do parcelacyi gruntów w Paranie („Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe we Lwowie"). Wypuściła ona udziały po 100 koron (40 rb.), ażeby zebrać kapitał potrzebny, przynajmniej 150,000 zlr. Zadaniem jej będzie nabywać znaczne obszary gruntu (w wielkiej ilości sprzedawane po 5—15 fr. za hektar) i następnie rozparcelowywać pomiędzy emigrantów polskich. Spodziewane zyski, które według przypuszczalnych obliczeń wyniosą 20% rocznie, Towarzystwo poświęci na szerzenie oświaty w koloniach polskich, tudzież na stworzenie drobnego przemysłu i handlu. W razie rozwoju przedsiębiorstwa na szerszych podstawach, instytucya ta ma pośredniczyć w wywozie wyrobów krajowych do kolonij, a towarów kolonialnych do Europy. Na czele nowego Towarzystwa stoją: Kazimierz ks. Lubomirski, prezes rady nadzorczej, pp.: dr. Siemiradzki, Władysław Terenkoczy i dr. Ungar — dyrektorowie. Siedzibą instytucyi jest Bank zaliczkowy we Lwowie.

Widzieliśmy powyżej, iż najkorzystniejsze są warunki kolonizacyi dla Polaków w stanie Parana. Gdzieindziej wychodźcy muszą walczyć z warunkami znacznie trudniejszymi. Tak np. w stanie S. Catharina utrzymanie jest wprawdzie tańsze, ale zarobki znacznie niższe. Brak zbytu artykułów kolonialnych powoduje ich nadzwyczajną taniość. Stan Rio Grande do Sul daje korzystne warunki dla rzemieślników i robotników fabrycznych, młodzieży wykształconej w zakresie handlowym itd. To też napływają tam w znacznej liczbie wychodźcy z różnych krajów Europy. Dla naszych atoli stan ten jest niebezpieczny. Ludność przesiedleńca składa się tam z osiemnastu narodowości. Polacy, rozproszeni śród żywiołów różnoplemiennych, skazani są na wynarodowienie, które prof. Siemiradzki przewiduje najdalej w drugiem pokoleniu. Dobrze więc zrobi Towarzystwo kolonizacyjno - handlowe, jeżeli rozwinie tam śród Polaków agitacyę celem zogniskowania ich w pewnych miejscowościach dogodnych i korzystnych.

Emigracya włościan polskich do Brazylii jest bardzo pouczającą pod względem socyologicznym i nawet antropologicznym. Dotychczas panowało powszechne przekonanie, że chłop nasz jest niezaradny, naiwny, że nie może się zdobyć na pracę produkcyjną, słowem jest materyałem biernym, apatycznym. Jakoż istotnie, jeżeli weźmiemy dane porównawcze, przekonamy się, że chłop polski nawet w drobnej cząstce nie może dorównać francuskiemu, niemieckiemu, a tem bardziej angielskiemu. Nie może on ocenić ani czasu, ani pracy własnej, przejada wszystko, co mu da jego licha rola i nie ruszy się z domu w zimie na zarobek, dopóki nie spożyje ostatniego kartofla. I oto naraz ten chłop, który dla sprzedania pół korca kartofli lub krowy zdychającej traci dwa dni na targu i ponosi znaczny koszt w drodze— ten sam chłop nagle w Brazylii staje się wybornym i energicznym kolonistą! Skąd ta przemiana cudowna? Przedewszystkiem oceniamy naszego chłopa w masie, następnie nie bierzemy w rachubę warunków ekonomicznych, społecznych, kulturalnych i nawet psychologicznych; wreszcie nie mamy żadnej możności przeprowadzenia pewnej klasyfikacyi, którąby nam pozwoliła określić procent żywiołu dzielniejszego śród mas niezaradnych i apatycznych. Dopiero trzeba tak twardych warunków, jakie daje emigracya, dopiero trzeba zagłady mas nieopornych na obczyźnie, ażeby się przekonać, że ci, którzy przebyli najcięższe próby i stworzyli sobie byt niezależny, jako koloniści, są istotnie dzielnym żywiołem. Zjawisko to jest powszech-

ne: z wielkiej fali emigracyjnej wypływają tylko silniejsi; słabsi stają się ofiarami wyzysku, oszustwa, łupieztwa i wogóle wszelkich warunków wrogich. Skoro jednak wiemy, że chłop polski posiada w sobie te pierwiastki energii, które się mogą przyczynić do pomyślności społeczeństwa, dlaczego nie staramy się dążyć do wytworzenia w kraju takich warunków, które chociażby w drobnej cząstce ułatwiły mu rozwój tych cech pożądanych? Niestety, dla nas włościanin ciągle jest jeszcze żywym inwentarzem, stworzonym wyłącznie na potrzeby gospodarki folwarcznej. Jeżeli przekroczy miedzę pastwiska dworskiego, pójdzie dalej do sąsiada, chcemy otoczyć go płotem wysokim i pozostawić na zbitym wygonie. Takie sławne projekty podawali nietylko ziemianie, lecz i górnicy na ostatnim zjeździe w Warszawie, którzy żądali zamknięcia granicy dla robotników polskich, idących do Prus i jednocześnie otworzenia jej dla włościan galicyjskich do Królestwa Polskiego. Dopiero ostateczność przekonała ziemian naszych, że lepiej jest podnieść płacę najemnikom wiejskim, niż poszukiwać ich gdzieindziej. Takich czynników, wywołujących ruch emigracyjny, można byłoby wykazać więcej. O ile nie są one żywiołowe, tkwiące głęboko w organizmie społecznym, można je zażegnać dla dobra ogólnego i tem samem podnieść energię wytwórczą ludności. Trzeba to tylko robić nie ze stanowiska interesów osobistych; trzeba wytworzyć w sobie zdolność poznawania potrzeb i natury ludu naszego.

Zen. Piet.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, 6 marca.

W jednej z ostatnich powieści Anatola France'a, z tak fotograficzną dokładnością malującej życie publiczne Francyi współczesnej, widzimy zręcznego liryka-dyplomatę, który dopóty zapewnia rząd republikański o swych uczuciach wierno - obywatelskich, dopóty wprowadza w grę wszelkie wpływy, nie wykluczając kobiecych i sportowych, aż zostaje biskupem; poczem pierwszą jego czynnością jest wystosowanie do prezydenta rzeczypospolitej listu otwartego—przeciw „masońskiej i panamskiej formie rządu"— tak zredagowanego, aby rząd był zmuszony wytoczyć mu proces administracyjny przed radą stanu... Znakomity pisarz nie wymyślił tej sytuacyi, lecz wziął ją z rzeczywistości. Momigner Gouthe Soulard przez bardzo długi czas był prostym proboszczem, tak znanym powszechnie ze swego liberalizmu, że Rzym ani słyszeć nie chciał o podniesieniu go do godności biskupiej; bardzo radykalne ministeryum Gobleta widząc to i myśląc, że zrobi tem na złość kuryi rzymskiej, coś 14 lat temu mianowało go wprost z proboszcza — arybiskupem Aix, Arles i Embrun w Prowancyi, następcą legatów miniońskich... W rok niespełna potem rząd zmuszony był ścigać go sądownie przed trybunałem rady stanu za opozycyę publiczną. Teraz znowu krewki starzec zwrócił na siebie uwagę publicznem zsolidaryzowaniem się ze skazanymi asumpcyonistami w formie tak obraźliwej dla rządu republikańskiego, że minister wyznań musiał zawiesić wypłatę jego pensyi, którą natychmiast w trójnasób pokryły składki wiernych, i nie poprzestając na tem, wniósł w Izbie deputowanych projekt prawa, karzącego więzieniem takie wystąpienia duchownych! Daje to nam sposobność do zastanowienia się nad kwestyą, czem jest klerykalizm francuski i walka z nim, którą, po kilkoletniej ciszy, na nowo podnieciła sprawa Dreyfusa.

Kwestya ta, doniosła pod względem prawno-politycznym i nader powikłana, rozpada się na kilka ważnych zagadnień, które wszystkie stoją dziś tu znowu na porządku dziennym i które w dalszych listach wypadnie nam po kolei szczegółowiej oświetlić, jak np. kwestya majątku kongregacyi i obciążających go podatków lub kwestya szkolna, z drugiej zaś strony, jak zjawisko społeczne, niezadowolenie katolików z istniejącego stosunku kościoła do państwa i państwa do kościoła, które, najogólniej rzecz określając, nazywa się klerykalizmem, z różnych wypływa źródeł historycznych i ostatecznie do różnych prowadzi następstw.

Stosunek ten określony jest dzisiaj konkordatem Napoleona, który wkrótce, za rok, mógłby obchodzić stuletni jubileusz swego istnienia, gdyby w jakimkolwiek obozie posiadał gorących wielbicieli. Konkordat ten znowu, wraz z dopełniającymi go t. zw. „artykułami organicznymi," jak to, w odpowiedzi na pretensye Watykanu, wykazał ówczesny dyrektor wyznań, Portalis, nie był bynajmniej nowością, lecz tylko kodyfikacyą polityki królów francuskich „arcychrześciańskich," rezultatem długich, dziejów wielowiekowych, zamknięciem we Francyi przynajmniej całego procesu tworzenia się nowożytnej narodowości. Gdy się proces ten rozpoczynał, to zarówno władza królewska, jak mieszczaństwo, to dwie siły antyfeodalne, stanęły w zgodnej opozycyi do papieztwa wszechświatowego, ograniczającego władzę królewską i ciągnącego z kraju olbrzymie dochody za nominacye duchowne. W czasie, gdy wyłamująca się dopiero z zamieszek feodalnych władza królewska opierała się na sile mieszczaństwa i liczyć się musiała z jego dążeniami narodowemi, a zarazem demokratycznemi, zwycięztwo zasady narodowej nad Rzymem w dziedzinie kościelnej wyraziło się w „pragmatycznej sankcyi" Karola VII (1438), umacniającej zasadę wyboru przy obsadzaniu godności duchownych i zabraniającej im opłacania się papieżom. Wkrótce jednak, z ostatecznem ustaleniem władzy królewskiej, zaczyna się zarysowywać antagonizm między nią a mieszczaństwem demokratycznem; chcąc zrobić z duchownych posłusznych sobie urzędników, a potrzebując poparcia papieża w swej polityce zagranicznej (dwa zasadnicze czynniki, które przetrwały dotychczas), Franciszek I konkordatem z r. 1516 znosi, ku powszechnemu i długotrwałemu żalowi prawników i nawet samego duchowieństwa, przewagę wyborów, zagarnia dla króla prawo nominacyi, przyznaje papieżowi prawo zatwierdzania i pobierania opłat. Jesteśmy w przededniu Reformacyi, tego drugiego buntu zróżniczkowanych już pod względem kulturalnym narodów przeciwko ekonomicznemu wyzyskowi i antynarodowej powszechności Rzymu. Prąd ten, jako mieszczański, jest z początku wszędzie zarazem demokratyczny i narodowy: lecz już monarchia stanęła wszędzie o własnych siłach i stara się opanować i wyzyskać tkwiący w mieszczaństwie pierwiastek ekonomiczno-narodowy, a zwalczać—demokratyczno-narodowy. W Niemczech słabe mieszczaństwo godzi się rychło na cezaropapizm; we Francyi — protestanci są zarazem przeciwnikami absolutyzmu. Gdy jednak królowie, wierni swej odwiecznej dążności, radzi patrzą na osłabienie Rzymu i bynajmniej nie sprzyjają podjętemu przez jezuitów dziełu wzmocnienia kościoła powszechnego, katolicyzm wojujący powraca tu do oręża, którego używał już podczas pierwszej walki papieztwa z władzą świecką: jak wówczas Grzegorz VII nazywał królów uzurpatorami i twórcami nierówności społecznej, tak teraz jezuici i publicyści zakonów demagogicznych przyczyniają się do rozwoju myśli rewolucyjnej, głoszą możność rozwiązania przysięgi wierności, teologicznie uzasadniają i — w czyn wprowadzają — królobójstwo. Monarchia zwycięża protestantyzm, ale pośpiesza też ubezwładnić i tę niebezpieczną armię rzymską. Stąd — gallikanizm, deklaracya z r. 1682, zredagowana przez Bossueta, zatwierdzona przez Ludwika XIV: uznanie katolicyzmu za jedyną religię państwową, lecz zarazem wielkie ograniczenie wpływu papieża na duchowieństwo francuskie, uzależnienie kościoła od rządu, odmówienie mu wszelkiego prawa do sądzenia steru państwowego, a wzamian obsypanie magnatów duchownych dostojeństwy z pozostawieniem w biedzie i poniżeniu duchowieństwa niższego, spadkobiercy demokratyczno-narodowych dążności katolicyzmu francuskiego. Przy pomocy najśmielszych jego przedstawicieli Rewolucya usiłuje raz jeszcze stworzyć kościół demokratyczny i narodowy; „konstytucya cywilna" z r. 1790, wskrzeszająca wybieralność duchownych, przedstawiona jest jako powrót do pragmatyki Karola VII. Lecz nawet niższe duchowieństwo demokratyczne nie może wznieść się do pojęcia równouprawnienia racyonalizmu z chrystyanizmem, zwraca się przeciw rewolucyi, nie znajdując już oparcia we własnym narodzie, oddaje się Rzymowi, zostaje ostatecznie ultramontańskiem. Gdy Napoleon I „odnawia kościół" z wyraźnie (przez Montholona) wyznaczonym celem zrobienia z duchowieństwa „świętej policyi," czuwającej nad ustrojem społecznym i politycznym, gdy w tym celu uzależnia je jak najściślej od rządu, robi „narodowem" przez nadanie siły prawa zasadom gallikańskim, przez poddanie zatwierdzeniu rządu nawet wszelkiego prawa papieskiego, które miało być ogłoszone we Francyi, a zarazem organizuje je w sposób oligarchiczny i plutokratyczny — gdy Restauracya utrzymuje w zupełności ten stosunek kościoła do państwa — z łona tego, demokratycznemi tradycyami nasiąkniętego ultramontanizmu wyradza się „katolicyzm liberalny" Lamennais i Montalembertów, płomiennie krytykujący teraźniejszość, domagający się wolności zarówno dla kościoła, jak i dla wszystkich, uznających wreszcie zdobycze ducha nowożytnego, obfitujący w pierwiastki reformy społecznej...

Wszędzie gdzieindziej odpowiednie prądy łączyły się z ogólnym demokratycznym i miały jego sympatyę wzajemną: znaną jest wielka rola, którą odegrało duchowieństwo w odrodzeniu Włoch. We Francyi coś podobnego trwało jedną chwilę — w r. 1848. Wszędzie z „katolicyzmu liberalnego" wyrósł później „chrześcianizm socyalny" i często zachodził stosunek wzajemnego popierania się między nim a ogólnym prądem społecznym: w Niemczech przedstawiciele jego protestują w imię zasad ogólnych nawet przeciw wygnaniu jezuitów. We Francyi niema wcale właściwego „chrystyanizmu socyalnego": jest tylko o wiele umiarkowańszy pod względem społeczno-ekonomicznym „demokratyzm chrześciański" księdza Naudet i hrabiego de Mun, który przechodzi bezpośrednio (profanacya cieniów Lamennais'go!) w szowinistyczny, militarystyczny, rynsztokowy antisemityzm Drumontów i Cassagnaców. Gallikanizm kościoła francuskiego należy do przeszłości: Brunetière w swym głośnym watykańskim odczycie przedstawia go — ku uciesze nietylko papieża, ale i całego duchowieństwa francuskiego — jako jedyną (!) rzecz przestarzałą u Bossueta... Całe duchowieństwo francuskie jest dziś ultramontańskie; ale pierwiastek demokratyczny reprezentują w nim tylko zakony fanatyczne w rodzaju asumpcyonistów, którzy z wyzyskiwania najniższych przesądów, np. listów do św. Antoniego, mają w skarbcu miliony na organizacyę wyborczą lub, ewentualnie, na zamach stanu, a w organie swym, *Croix*,

pod wyobrażeniem Męki Pańskiej drukują szyderczy i skandalicznie nieprzyzwoity wierszyk na temat, że adwokat Labori otrzymał postrzał *z tyłu*; wierszyk ten składają zecerki zakonnice przy śpiewie hymnów pobożnych... Powraca najgorsza publicystyka „Ligi" z XVI w.

Czem się to dzieje, że duchowieństwo, dawniej narodowe i demokratyczne, później albo narodowe, albo demokratyczne, dziś, pomimo tych tradycyj, na które się nieraz powołuje, nie jest ani jednem, ani drugiem i zostaje w wyraźnym antagonizmie zarówno do przedstawicieli patryotyzmu urzędowego, jak do tych, którzy pchają dalej Francyę po drodze rozwoju demokratycznego. Objaśnić to możemy tem, że we Francyi hasła patryotyzmu i demokracyi ujawniły najwcześniej i najdobitniej nową treść myślową i społeczną, którą w nie wlewa wszędzie rozwój ekonomiczno-społeczny XIX w. — treść, która przeczy samej zasadzie kościoła, jako takiego.

Stąd to, gdy gdzieindziej niejeden pastor stara się pogodzić transformizm przyrodzony i społeczny z chrystyanizmem, we Francyi księżom, chcącym pomimo to wyprowadzić wszystkie konsekwencye z „katolicyzmu liberalnego," nie pozostaje nic innego, jak zrzucić sutannę, co zrobił Charbonnel i wielu innych. Stąd ta nieufność Francyi postępowej do duchowieństwa, choćby się ono zwało republikańskiem i nawet społecznem, dochodząca do tak dziwnych objawów, jak przed paru laty odmowa udziału w międzynarodowym kongresie prawodawstwa fabrycznego, dana przez paryską radę miejską na tej jedynie zasadzie, że miało w nim brać udział *szwajcarskie* towarzystwo chrześciańsko-socyalne. Po r. 1870, podczas trudnej walki republikanów z intrygami monarchii, całe bez wyjątku duchowieństwo, choć ultramontańskie, stanęło po stronie rojalizmu gallikańskiego. Stąd gwałtowny antyklerykalizm pierwszych lat rządów czystych republikanów, trwający nadal nieprzejednany antagonizm między rozwojem form i zasad republikańskich a duchowieństwem sprawia, że konkordat i artykuły organiczne, wprowadzone w celu ugruntowania absolutyzmu Ludwika XIV i Napoleona, stają się dziś jakby pancerzem demokracyi postępowej i wolnomyślnej; i — rzecz, która znowu wyda się dziwaczną w porównywaniu z wyżej przytoczonem stanowiskiem społeczników niemieckich względem jezuitów — skrajna lewica społeczno-polityczna popiera we Francyi w imię „obrony rzeczypospolitej" wytaczanie procesów kongregacyom zakonnym — — nieprawne stowarzyszanie się, biskupom — za publiczne napaści w mowie i piśmie na rząd, popiera nowy projekt ministeryalny, aby takie „przekroczenia" karano więzieniem, zarówno jak np. zamiary ograniczenia swobody nauczania — dowodząc, że duchowni, pobierający pensye, są takimi samymi urzędnikami, jak prefekci lub nauczyciele, którzy za krytykę rządu dostają dymisyę, a zapominając, że uwięzienie duchownego za krytykę rządu mogłoby tylko zrobić z niego męczennika w oczach wiernych, a zasady nakazywałyby domagać się dla profesorów i dla wszystkich obywateli takiej samej swobody, jak dla duchownych!

Zanim republikanie, zawładnąwszy rządem, zaczęli używać z kolei dawnego oręża monarchicznego, polegającego na odbieraniu duchownym pensyj i na wytaczaniu im procesów przed radą stanu, oręża, którego nawet zresztą rząd republikański nie używa częściej niż monarchiczny (za III-ej rzeczypospolitej było takich procesów tylko 6 na ogólną ilość 18 w b. stuleciu), mieli oni w swym programie oddzielenie kościoła od państwa. Warunku tego domagali się też dawni „katolicy liberalni," jako jedynej konsekwencyi zasad republikańskich. Dziś żądanie to z polityki bieżącej zupełnie się ulotniło. Wszystkie po kolei ministerya, nawet najradykalniejsze, utrzymują ambasadę przy Watykanie; opozycya protestuje, a doszedłszy do władzy, skosztowawszy „konieczności państwowych," robi z kolei to samo. Duchowieństwo, zwłaszcza wyższe, ani słyszeć nie chce o zrzeczeniu się stanowiska urzędowego i pensyj, chociażby minister wyznań był bezwyznaniowcem. Pewni publicyści katoliccy, jak Drumont, którzy, idąc w myśl części duchowieństwa niższego, wyszydzają „służących masonom i żydom" prałatów, chcieliby odpaństwowienia kościoła, z warunkiem nietylko swobody stowarzyszeń, ale i swobody nagromadzenia korporacyjnej własności nieruchomej z darów i zapisów. Odbudowania na tej drodze wielkiej potęgi ekonomicznej kościoła boją się żywioły radykalno-republikańskie; mieszczańska zaś rzeczpospolita boi się wogóle tych zbyt daleko idących urządzeń demokratycznych, które oddzieleniu kościoła od państwa towarzyszyć by musiały, oraz nie chce pozbywać się tej sankcyi religijnej, którą jej, bądź co bądź, duchowieństwo urzędowe wobec części mas nadaje. Ten czynnik obawy działa wprawdzie, lecz działanie jego zbyt przeceniano przy tłomaczeniu przymierza rządu „masońskiego" z „kropidłem," Francya bowiem stoi już na tym stopniu rozwoju, na którym „policyą dusz" może być nietylko religia, ale „opinia publiczna," na którym świeckie podręczniki „moralności obywatelskiej" równie dobrze uczą dyscypliny społecznej, jak katechizmy, i mieszczaństwo może bez zbytniej obawy wprowadzić wychowanie świeckie. Wchodzi tu w grę i inny jeszcze, ważniejszy czynnik, opierający się na interesach polityki zagranicznej, która i w tym wypadku działa uwsteczniająco na wewnętrzną. Oto Francya od XVI w. jest protektorką chrześcian na Wschodzie, z początku w państwach muzułmańskich, dziś — w Chinach i Japonii. Protekcya ta jest dla niej siłą handlową, kolonizacyjną i dyplomatyczną; misyonarze, otrzymujący od rządu francuskiego znaczne zapomogi, są agentami jej wpływu. Dlatego to Francyi antyklerykalnej potrzebne jest koniecznie w polityce zagranicznej poparcie Watykanu; dlatego to wyznaje otwarcie, że „republikanizm nie jest na eksport." Tak minister spraw zagranicznych, radykał Delcasse, podczas rozpraw nad budżetem w r. z., w odpowiedzi na wniosek socyalistów, aby zmniejszyć zapomogi szkołom misyonarskim w Turcyi, oświadczył, że „antyklerykalizm nie jest na eksport" i że Francya jest w swej większości narodem katolickiem, a deputowany ksiądz Lemire wyraził przekonanie, że nawet socyaliści, jeśli dojdą do władzy, zgodzą się z tem stanowiskiem względem misyj, co dziś obecność Milleranda w gabinecie w części chociaż potwierdza...

Cień Franciszka I z jego konkordatem i „kapitularzami" tureckimi ciąży nad demokracyą francuską i nie pozwala jej wybrnąć ze sprzeczności antyklerykalizmu jakobińskiego!

K. Radosławski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Perpetuum mobile.

Nie stąd ni zowąd w dwu dziennikach wskrzeszono pogrzebaną od lat sześciu sprawę kasy emerytalnej b. kolei Terespolskiej. Nie będziemy tu szczegółowo opowiadali jej długiego i zawiłego przebiegu, bo byłoby to już bezcelowem. Przypomnimy tylko, że owa kasa miała wadliwą ustawę, obiecującą uczestnikom więcej, niż dać mogła, że bardziej przewidujący jej kierownicy daremnie namawiali członków do zmiany statutu, ubezpieczającej pewność otrzymania emerytur podwyżką składek, że przy likwidacyi kapitał kasy nie wystarczał nawet na pokrycie emerytur przyznanych, że dla reszty jej uczestników akcyonaryusze zaledwie zdołali ocalić składki z procentami, ofiarując im cały kapitał oszczędnościowy. Po skończeniu bowiem budowy kolei Terespolskiej pozostała pewna suma, którą przeznaczono na niezależne od niej przedsiębiorstwa i z części jej zbudowano magazyny zbożowe. Otóż przy skupie skarb uznał zarówno owe magazyny, jak niezużytkowaną z kapitału oszczędnościowego gotówkę za przynależytość i własność kolei. Dzięki staraniom pełnomocnika Towarzystwa, a zwłaszcza p. L. Kronenberga, który na obradach w Petersburgu przedstawił prawa, pretensye i skargi upośledzonych i pokrzywdzonych wobec kasy, udało się wyjednać dla nich przynajmniej gotówkę z funduszu oszczędnościowego (około 300,000 rb.), z którego zwrócono im oprocentowane składki.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w tej kategoryi znaleźli się ludzie biedni, zasługujący na współczucie i wsparcie, że likwidacya kasy sprawiła im bolesną niespodziankę, że zbyt zaufali podszeptom agitatorów, zaręczających, iż niedobór kapitału emerytalnego pokryją w ostatniej chwili akcyonaryusze (z czego?), ale jakkolwiek ta sprawa zakończyła się dla łatwowiernych smutnie — jednak już zakończyła się ostatecznie. Jeżeli tedy zwolennicy robienia z niej *perpetuum mobile* wznawiają ją w prasie, a co gorsza — radzą interesowanym albo zwrócić się do nieistniejącego, bo rozwiązanego Towarzystwa, albo przedstawić swe pretensye skarbowi, który je w swoim czasie zbadał i odrzucił, to taka tania filantropia jest tylko mąceniem ludziom w głowach, wzniecaniem w nich bezzasadnych nadziei, a może i pobudzeniem ich do starań i kosztów bezowocnych. Sympatya dla zawiedzionych, potrzebujących, wreszcie nieszczęśliwych nie powinna nam mroczyć rozumu w ocenie *formalnej* podstawy ich prawa, a ta podstawa jest fikcyą. P. L. Kronenberg, jako człowiek bogaty, może uwzględnić prośby o wsparcia ludzi biednych, ale nie może przyjmować ich podań jako prezes i zastępca akcyonaryuszów kolei Terespolskiej, bo ani taki prezes, ani taka kolej, ani tacy akcyonaryusze nie istnieją. Ubóstwo jest rzeczą zbyt poważną, ażeby wypadało wtrącać je do jakiegoś *perpetuum mobile*, czynić zeń — mówiąc po warszawsku — „piłę dziennikarską," która co pewien czas pojawia się na szpaltach pism, nasypie frazeologicznych trocin i znika. Kto umie radzić, niech mu radzi, ale kto chce siać bałamuctwa, niech sobie poszuka weselszego przedmiotu.

Stracone popisy.

Pisma nasze donoszą z wielkiem zadowoleniem o tryumfach artystów polskich za granicą lub o pracach Polaków w językach i przedmiotach obcych. Dalecy jesteśmy od zapamiętałego szowinizmu, ale chcielibyśmy wiedzieć, jaki mają cel i na co liczą polscy autorowie niezliczonych broszur i rozpraw ogłaszanych po niemiecku, francusku lub angielsku? Ani sławy, ani wdzięczności im to nie zapewni, nauka cudzoziemska takich usług nie potrzebuje, a tymczasem wiedza swojska, dla której powinni mieć obowiązki, żyje w nędzy. Gdyby oni pracowali na niwie własnego piśmiennictwa, nietylko wzbogaciliby je, ale obrabiając pole ugorowe, mogliby zyskać uznanie szerszego świata. Nie-

tylko dla nas, ale dla Francuzów i Niemców byłoby np. bardzo pouczającem i ciekawem przedstawienie obrazu stosunków rolnych w jakiejś epoce u nas; tymczasem „Das landwirthschaftliche Genossenschaft in Frankreich unter besonderer Berücksichtigung der landwirtschaftlichen Syndicate“ nie zbuduje wielce ani Francuzów, ani Niemców. Rozprawa ta utonie w morzu innych, a jej autor, p. Kudelka, nie uszczknie wawrzynu rosnącego po za spisem bibliograficznym. Po co więc tracić siły i środki na te czcze popisy?

Dalszy ciąg.

Okazuje się, że pierwszy rodzic oszustwa bankowego w Galicyi pozostawił bardzo liczne potomstwo, które ciągle się odnawia. Nie wiemy, jakie miejsce w tej genealogii zajmuje i jaki numer porządkowy nosi ostatni ze sławnych bohaterów tego rodu, dr. F. Sędzielowski; ale wiemy, że wzorem swych poprzedników okradł Towarzystwo wzajemnego kredytu w Sędziszowie na 340,000 koron, że jako dyrektor tej instytucyi używał szerokiego kredytu i nieograniczonej władzy, że nawet w chwili wyraźnego chwiania się gruntu pod jego nogami urzędowi „kontrolorzy“ nie sprawdzali rachunków i nie zaglądali do kasy, że dzięki tej pobłażliwości mógł nagromadzić podrobionych weksli i pofałszować księgi, ile mu się podobało. Pozwolono mu też spokojnie opuścić miejsce chwalebnej działalności i ukryć się bezpiecznie w krzakach pieprzu.

Zdawało się, że po Kieszkowskich i Zimach ślepe lub nieuważne oko kontroli, czuwającej nad kierownikami instytucyj finansowych, zaostrzy się i bystro oglądać będzie zarówno ich ręce, jak sumienia. Bynajmniej. Czy tak głęboko zakorzenił się nałóg niedbalstwa, czy też owe nadużycia tak szeroko rozpuszczają swe sieci, że trudno w bliższem otoczeniu winowajców znaleźć niezależnych i bezstronnych sędziów, dość że odkrycia oszustw i kradzieży bankowych powtarzają się z przerażającą częstością. Nie należymy do alarmistów, gotowych z pojedynczego wypadku czynić pręgierz dla ogółu, ale wyznać musimy, że tych wypadków było już w Galicyi za dużo i że one wskazują szeroko w jej organizmie społecznym rozpostartą chorobę. Po krótkim stosunkowo czasie przesunął się przed nami długi szereg zuchwałych oszustów, Sędzielowski jest dalszym ich ciągiem, a końca nie widać. To nie jest tylko złe, wstrętne, smutne, to już jest bardzo groźne.

Logiczne.

Jedno z pism gorzkiemi łzami zapisuje wiadomość, że niejaki p. Ciecierski *tylko* w żydowskim organie („Hacefirze“) ogłasza, iż ma do sprzedania 740 dziesięcin ziemi, przyczem dziennik ten zaznacza, że nie jest to fakt odosobniony. Nas on wcale nie dziwi. Prosimy czytelników, ażeby sobie przypomnieli, o ilu też słyszeli właścicielach lasów, którzy je eksploatowali sami, albo o ilu chrześcianach swojskiego rodu, którzy kupowali lasy na handel? Nam się zdaje, że jeszcze dziś gdyby szlachcic nabył od sąsiada kawałek lasu i zarobił na nim 37½ kop., znajomi uważaliby go za splamionego. Wogóle handel, jak łapanie psów, był oddawna, a po części jest dotąd w oczach naszych zajęciem niezbędnem, ale takiem, którego imać się powinni ludzie pośledniejszego gatunku — przedewszystkiem zaś Żydzi. Jeżeli tedy handel lasami złożyliśmy w ręce Żydów, czyż nie logicznie postępują ci, którzy jego sprawy załatwiają przez ogłoszenia w *Hacefirze!* Jest to najwłaściwszy rynek, który nie powinien nas oburzać, ale raczej wstydzić. Każde takie ogłoszenie jest odnowionem świadectwem naszego niedołęztwa i śmiesznego arystokratyzmu, który długo zadzierał w górę nos wobec „łokcia i miarki,“ a teraz go przed niemi spuszcza. Obdarci, zbiedzeni, odsunięci od źródeł dobrobytu, zamiast poprawić omyłki, gniewamy się na... konsekwentny rozwój stosunków.

BADANIA NAUKOWE.

Otton Gaupp: *Herbert Spencer*, przełożył z niemieckiego dr. A. Grosglick. Warszawa, 1899, str. 118.

(Dokończenie).

Dla charakterystyki Spencera jako filozofa ważne są przedewszystkiem, a nawet wyłącznie, tylko twierdzenia zawarte w „Zasadach pierwszych.“ Jaka jest ich wartość „powszechna?“ Otton Gaupp, lubo gorący zwolennik i wielbiciel mędrca angielskiego, wyraźnie w kilku miejscach zaznacza „niemożliwości“ i „niepodobieństwa“ niektórych naczelnych ujednostajnień i zjednoczeń, czyli syntez wszechświatowych. Nie przekraczając ram sprawozdawczych, posłużymy się tu jedynie dwoma przykładami, uwydatniającymi niebezpieczeństwa uogólnień zbyt szerokich, ogarniających zakresy zanadto rozległe i różnorodne, ażeby wyjść mogły na co innego, niż na proste analogie, albo nic nie mówiące w swem rozcieńczeniu nadmiernem, albo mówiące za wiele w wypadkach nieco ściślejszych. Szkopuł to zresztą znany od początków filozofii; nie mógł go i Spencer ominąć.

Jest w „Zasadach pierwszych“ symbol czyli schemat najogólniejszego poglądu na świat, głoszący, że „wszelki rozwój podąża od stanu jednorodności ku stanowi różnorodności.“ Tak dosłownie brzmiała ta formuła w kwietniowym z r. 1857 zeszycie czasopisma *Westminster Review*, w którym Spencer zamieścił zarodkowy zarys swego całokształtu filozoficznego p. t. „Postęp, jego prawa i przyczyny.“ Następnie, kiedy w szeregu rozmaitych opracowań socyologicznych, niejedno konkretne zjawisko społeczne z wielkim tylko mozołem dawało się podciągnąć pod pomienione orzeczenie, Spencer dorabiał do niego rozmaite wstawki, dodatki, odchylenia i zahaczenia, znane w jego „Zasadach“ pod mianem przyczyn lub praw mniejszych, drugorzędnych, „wtórnych.“ W najświeższych edycyach „Zasad pierwszych“ przeróbki te i modyfikacye uwzględniono zostały i tworzą wywód wielce zawiły a zarazem, wśród ciągłych przejść od różniczkowania do całkowania i napowrót — od integracyi do dyferencyacyi — niezmiernie na pierwszy rzut oka dowolny, coś w rodzaju owych „praw“ Supińskiego w jego „Fizyologii wszechświata,“ gdzie całość bytu raz pochłania swoje części, drugi raz sama w częściach swych zanurza się i ginie, tu pożerana przez swoje dzieci, gdzieindziej znowu lub kiedyindziej karmiona i odżywiana przez nich. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pomysł owego procesu od wspólnoty niewyróżnicowanej do różnorodności zcałkowanej Spencer wziął — jak sam to najformalniej stwierdza — z odkryć sławnego embryologa Baera. Baer dowodził — i w swoim zakresie dowiódł — że rozwój wszelkiego organizmu osobniczego (roślinnego i zwierzęcego) zasadza się na postępie jego budowy od jednolitości chaotycznej do wielorakości uspecyalizowanej i uporządkowanej. Według Spencera, owa ewolucya organiczna (biologiczna ze swego pochodzenia) ma być ewolucyą w ogólności, stosującą się zarówno do historyi ludzkości jak i do obrotu gwiazd i dziejów kosmosu. Bez kwestyi, przy odrobinie dobrej woli rytm cieniutkiego podobieństwa w kierunku od prostoty do komplikacyi nie trudno odnaleźć nawet między zjawiskami tak od siebie odległemi, jak: kolejne odmiany umysłowości i oświaty — wzrost życia organicznego na ziemi — stopniowe ochładzanie się naszego globu — a nawet powolne osiadanie plemion aryjskich na ziemi Europy, w Indyach i za Atlantykiem. Atoli, trzeba już dobrej dozy imaginacyjnej, ażeby prawo ujawniające się, według Baera, w kiełkowaniu rośliny, wszczepić w obiegową (dokoła ziemi) żyłkę księżyca. Spencer jednakże posuwa się bez porównania dalej. Broni on hypotezy Laplace'a, według której słońca i planety wyróżniczkowały się z mgławic kosmicznych, zalegających przed prawiekami przestworza świata; w następstwie tego przypuszczenia wszechbyt przedstawia się Spencerowi jako kolosalna, trylionowe okresy lat trwająca, gra sił przyciągania z siłami odpychania. Po przez nieprzeliczony szereg tysiącoleci skupia się i wyodrębnia z chaosu za pomocą przyciągania, to w ciągu niemniej olbrzymiego kołowrotu czasów na chaos się rozprzęga i rozprasza wskutek odpychania, rozpierającego kosmos na mgławice w następstwie potwornego gorąca, jakie się wydziela ze starcia słońc zbiegających się dośrodkowo przy zamknięciu cyklu przemian o wykładniku przyciągania... I znów z kolei w ostygającem łonie mgławic chaotycznych bierze górę siła przyciągania, wyodrębniając powoli nowe gwiazdy, nowe słońca, nowe światy... Zaprawdę, szalonej poetyckiej wyobraźni trzeba teraz, aby módz w tych przewrotach i kataklizmach ognistych pochwycić jakąś nić łączną, jakąś spójnię lub zgodność z opisanym przez Baera przewodem wylęgania się kurczęcia z jaja.

Biologia podała tu kosmogonii jedno swe skrzydło do lotu; drugie poda ona spekulacyom historyozoficznym. Osią, około której wiercą się główne założenia socyologii Spencera, jest prawo orzekające, że „życie — to ciągłe przystosowywanie się możliwości wewnętznych do zewnętrznych.“ Rzeczywiście, bardzo wyraźnie spostrzegamy coś w tym rodzaju, roczytując się w dziale geologii, zwanym paleontologią. Nawet z Lyella przestarzałych na dziś opisów tworzenia się skorupy ziemnej widać dokładnie, że rozmaitym ziemi uwarstwieniom, w miarę jak powstawały, towarzyszą pewne odpowiednio, typowe okazy jestestw organicznych, zjawiające się tam i wtedy, gdzie i kiedy zjawiają się warunki sprzyjające ich rozwojowi, a znikające — gdy warunki owe znikają. Bez wątpienia, nie sposób przypuścić, ażeby gleba, woda i powietrze jakiejś formującej się epoki geologicznej zawczasu przystosowywały się do wymagań i potrzeb mającego się wśród tego otoczenia ukazać świata roślinnego i zwierzęcego; ale czy z zaznaczonego faktu, nieodzownie wynika konieczność odwrotna i czy można konieczności tej nadać miano *przystosowywania się* życia do jego otoczenia, do jego środowiska? Oto przykład konkretny. „Zdaje się—powiada prof. Huxley (u Clifforda) — że podczas pierwszego okresu geologicznego istniała rasa jaszczurek, mających trzydzieści stóp wysokości; chodziły one na tylnych nogach, kołysząc się wskutek swego wzrostu i miały po trzy palce. Rasa ta rozwijała się w trzech kierunkach: jeden odłam uznał za właściwe chodzić na czworakach i jeść ryby — dał on początek krokodyłom; inny, gwałtownie ćwiczył przednie nogi i rozwinąwszy długie palce, zamienił się na ptaka; reszta rasy nie prędko się zdecydowała, czy ma używać więcej nóg czy rąk, nakoniec rozdwoiła się, jedne okazy stały się pterodaktylami, inne kangurami...“ Bardzo być może, że umysł i język angielski zdolne są w takiem zachowaniu się jaszczurek wykryć jakieś przeważające cechy „przystosowawczości.“ Ilekroć Wielkobrytańczyk wdziera się w krainy indyjskie lub afrykańskie z wi-

dokami własnego wśród nich wyzysku, wolno mu, zaiste, swe narzucanie się cudzemu otoczeniu, swój podbój nazywać zastosowaniem się do okoliczności zewnętrznych; ale polszczyzna nie znosi metafor podobnych. Gdyby krokodyl, pterodaktyl, kangur, dostawszy się w warunki pierwszego okresu geologicznego, wyrównały się w nim na szereg jaszczurek, możnaby jeszcze powiedzieć po polsku, że się przystosowały do sytuacyi zewnętrznej; ponieważ zaś mamy przed sobą zjawisko wręcz przeciwne, więc nietylko nie zdaje się ono stwierdzać procesu przystosowawczości, lecz—rzecby można—najwyraźniej świadczy o istnieniu w jaszczurkach wewnętrznego jakiegoś popędu, wewnętrznego parcia do przełamania możliwości zewnętrznych, do podgarnięcia i dopasowania ich do sił i możliwości złożonych we własnym organizmie...

A skoro już w ustrojach zwierzęcych spotykamy dość wyraźne poszlaki przewagi usposobień czynnych nad biernemi, zdolności przystosowywania otoczenia do siebie nad skłonnościami przystosowywania się do otoczeń, to cóż powiemy o Socyologii, która swe prawa wysnuwać zaczyna ze spostrzeżeń nad uświadomiającymi się i uświadomionymi ruchami gromad ludzkich. Przenikliwy umysł Spencera nie mógł tu poprzestać na gołej zasadzie; w Socyologii jego znalazły się również rozmaite podpórki i odmianki „wtórne," osłaniające lub łagodzące temat o „przystosowywaniu się wewnętrznem." Tak np. obok warunków zewnętrznych przyrodzonych, stają warunki zewnętrzne społeczne; zakrawa to jednak cokolwiek na tautologizm, bo czyliż w organizacyach zbiorowych „przystosować się do warunków zewnętrznych społecznych" nie wychodzi na jedno, co przystosować się do samego siebie, do wieków przez siebie wytworzonych? To pewne w każdym razie, że prawo przystosowywania się najmniej jasno tłomaczy genezę postępu i tak nieraz subtelizuje, zaciera wszelkie ślady dynamiki społecznej, że w ciemnościach wieków przedhistorycznych (najważniejszych dla socyologii) nie można z tą latarką zrobić jednego nawet kroku w lewo lub w prawo. Przykład: Oto słowiańska rzesza Aryów pierwotnych, pędzona na zachód nawałą ludów postronnych lub pomnożeniem się ludności własnej, wylewa się przez Kaukaz i stepy uralskie na płaszczyzny Panonii, stąd zaś, jak zapewnia Nestor — Polanie podążają nad Dniepr i Wartę, Mazowszanie nad Wisłę, Łęczycanie nad morze (goplańskie zapewne). W wędrówce tej podłoże zewnętrzne zmienia się w końcu doszczętnie. Zamiast rozpromienionych nadobłocznych błękitów i bujnych pastwisk naddunajskich — wszędzie las, mokradła, mgły, chmury, zawieje, śnieżyce. Odbywa się jeden z najgłębszych przewrotów życiowych—utrwalony po dziś dzień w języku i mitologii przybyszów. Bóstwo podniebne, zsyłające niegdyś tyle swobody i rozkoszy — dyaus, dios, diw — wypielęgnowane wśród kontemplacyjnych wywczasów pasterskich, traci na znaczeniu, usuwa się, pierzcha przed wzmagającem się tęsknem wspomnieniem coraz trudniejszej teraz do zdobycia obfitości, dostatku, bogactwa — bhaga, boga. Czynność wszakże dyausowa, dzewsowa, słoneczna — ruchliwość owa świetlana gwiazdy dziennej, utkwiona raz na zawsze w świadomości pierwotnej, nadgangesowej, nie zaginie. Przekształci ona jedynie, pod ciężarem zmieniających się doświadczeń zewnętrznych, swą osnowę tradycyjnie bierną na postępowo-czynną; diw, podziw pierworodny — da początek „dziełom," „dziejom," wykarczuje zarośla, wzniesie chaty, uprawi zagony... Czy to ma być przystosowaniem się do warunków zewnętrznych? Ależ dla Aryów polańskich nad Gopłem czy nad Świtezią warunki owe były takie, że zastosować się do nich znaczyło tyle, co dać się zmódz chłodowi i głodowi, co załamać bezradnie ręce i zamrzeć w skostniałej nadziei na powrót dyausa nadgangesowego i pastwisk panońskich... Wprawdzie, po długiej walce, Polanie aryjscy poddali się nowemu swemu środowisku, przystosowali się do niego, ale się przystosowali nie według ewolucyjnego ogólnika Spencera, tylko według starej recepty Bakona: pod jarzmo przyrody zginamy karki po to, ażeby z niego się wyprządz i ją samą podbić.

Wszystko wyżej jest powiedziane bynajmniej nie w widokach zmniejszenia wielkiej i doniosłej pracy Herberta Spencera; otwarcie owszem wyznać należy, że wiek XIX nie wydał dzieła, któreby pod względem mocy i owocności równać się mogło z syntetyczną filozofią myśliciela angielskiego — naturalnie, o ile tę filozofię studyować zechcemy w krytycznem świetle innego zdania Bakona: nauka jest córą nie powag, lecz doświadczenia.

K. Włostowski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

I.

Kazimierz Sterling: *Nastroje.* Warszawa, 1900 r. — Stanisław Hłasko: *Poezye.* Warszawa, 1900.

Nastroje? Ba, toż modernizm najoczywistszy! Alcż tak. Inaczej być nie może, skoro to pisze p. Kazimierz Sterling, autor poematu „Abbadonah," w tym bowiem kierunku rozwija swe ambicye. Nieskutecznie często. Prawdopodobnie ani p. Przybyszewski, ani Miriam nie uznają go za ucznia swego. Zresztą, może się mylę. Wszak młodsi poeci usilnie poszukują nowego wyrazu dla swych natchnień, niezużytych środków artystycznych, któreby nie były obiegową monetą na rynku, lecz stanowiły ich własność oryginalną; pragną obudzić w sobie widzenie nowych linij ducha czy świata zewnętrznego. Otóż i p. K. Sterling lubi nam ukazywać rzeczy bardzo niezwykłe. Tu np. dwie łzy palące, miast wypływać, wżarły się w oczy (u jednego z wieszczów dym „wraca" z komina). Nie dziw, że serce „strasznie, strasznie boli." Oswoiwszy się cokolwiek z tą piorunującą wiadomością, zwróćmy się w stronę, gdzie kołyszą się potężne dzwony: tłumiąc w sobie niewygrane pienia (lecz *serca* są!), owinęły głowę mgławicą cierpienia, stopy skąpały w łez morzu i ciskają w dal wzrok łzawy. Doskonale! „Stopy" dzwonów bujają sobie w powietrzu, a wraz z nimi i... morze. Utrzymuje się ono na tej wyżynie siłą... rozpędu twórczego. Co za wspaniałe zjawisko! Jeszcze jedno. Ktoś to dowodził, że poeta z istoty swej jest człowiekiem pierwotnym, jest antropomorfistą. No, ktożby teraz o tym wątpił? Albo oto znowu czyż nie zajmujący i nie tajemniczy widok, kiedy „ulicą ciągną tramwajowe konie," a „przed nimi szyny biegną równomiernie, trzymając smutne na twardym łańcuchu." Szyny trzymają konie na łańcuchu. Co za wysoce rozwinięte uspołecznienie do antropomorfizmu! Modernizm, z pewnością modernizm! Posunę się wszakże do twierdzenia, że „łez morze" i „mgławica cierpienia" i „wzrok łzawy" — to nie objawy odświeżonej wrażliwości, lecz najzwyklejsze liczmany wierszoróbstwa, pomieszane niedorzecznie na chybił trafił. Co tam marzyć o jakimś modernizmie, jeżeli autor nie umie sobie dać rady z uszykowaniem i doborem najprostszych wyrażeń, tak że go zrozumieć często niepodobna. „Nieszczęśliwy, kto się w tej ziemskiej podróży ze ścieżki zbił swojej i zszedł na manowce: kto zmiera w rozpaczy, że przeżył niedłużej i zgubił tę drogę, którą głupie owce kroczą przed siebie — cichy i spokojny." Mówią, że dwa grzyby w barszczu za dużo, a tu aż trzy: zbić się ze ścieżki, zejść na manowce, zgubić drogę. Po drugie, coby znaczyło: umieram, bo nie przeżyłem dłużej — nie zgadnę. A wreszcie, kto tu jest cichy i spokojny. Chyba nie ten, kto „umiera w rozpaczy?" Więc owce? Cich*y* i spokojn*y* owce? Ach, ten zecer! Jedna literka mała, a „nastrój" pierzchnął! Zresztą co to jest właściwie „nastrój?" Myślicie, że to koniecznie jakiś wyjątkowy stan ducha? Że może to splot wrażeń, uczuć, myśli, pożądań, tęsknot niekiedy tak niewyraźnych, powiewnych, tak subtelnych, iż rozczłonkować ich niepodobna, a lada słówko nie w porę wymówione lub dźwięk niezgodny roztrąci? Gdzież tam! Przecie człowiek, jeśli czuwa, zawsze jest w takim lub owakim nastroju, a zatem — wszystko, ale to wszystko jest nastrojem: więc i bajka o dziewczynie, szukającej szczęścia, więc i gawęda w tonie Syrokomli, że „jako pniaki dębiny, trzy dorodne swe syny, woła Maciej, wójt wioski" i wysyła ich w świat, jak Budrys swych Litwinów — i „pieśń zwaryowanego trubadora," w której oprócz tytułu nic niema „modernistycznego," i wogóle wszystko, co się zrymować dało. Przeczytajmy naprzykład taki niewinny wierszyk: „Na słońce dziewczę frunęło raz żywo i, biegnąc wesoło po łące, deptało chwasty i cierń i pokrzywę, i głóg, i *trawek* tysiące. O dziewczę płoche, idź wolniej, zostrożna. Patrz! nóżką zdeptałoś i kwiatek. Tak deptać kwiatków nie wolno, nie można. To serce moje — ten bratek." Słyszałem, że kiedyś komuś na język nadeptano, czemużby więc nie na serce? I to jest nastrój — ale pensyonarski. A oto jeszcze jeden. Kulawy pies wtulił się pod ścianę. „Wielka zeń żałość i boleść szła, że go obito, oplwano... i jęczał cicho, jak człowiek łkał, a łzy, łzy mu kapały." (Jeżeli dzwony umieją ronić łzy nie skąpo, łatwiej to uczynić psu). Jeden przechodzień rzucił mu kość, inny dał nieco wody itd., aż wreszcie znalazł się ktoś, co „schwycił psinę za nogę, potem wielki opasał nim krąg, aż mózg obryzgał krwią ścianę, i z zbrodniczych wypadło rąk ciało psa martwe, strzaskane... Człek się przeraził, spochmurniał, zbladł, a pies mrąc lizał mu ręce..." Dziwnie poetyczny obraz, iście nastrojony i zarazem po za wszelkimi związkami logicznymi utworzony. I ciało martwe, strzaskane, i mózg krwią (?) obryzgał ścianę, a pies wciąż liże ręke! I co tu powiedzieć! Wszak nic podobnego chyba nawet u Londyńskiego ani Rydeckiego nie znajdziemy! Domyślamy się jednak, jak to było. Obecnie autor, podejmujący głębokie zagadnienia filozoficzne i układający za przewodem Hercolanda „monodramaty," juźby pewnie podobnych rzeczy nie pisał. Pies kulawy zrodził się widocznie w czasach zamierzchłych, w chwilach melancholii, wywołanej burą profesora z powodu lekcyi, dajmy na to, gramatyki. Że zaś poeta z pietyzmem gromadzi nadobne swe pierwiosnki, to tylko dowód, że dotychczas nie utracił całej swej pierwotnej... świeżości wrażeń. Jeżeli ją kiedykolwiek straci, przedewszystkiem zwróci baczniejszą uwagę na rytmiczność wiersza i rozstanie się z przekonaniem, iż dowolny układ zgłosek, niezmierzający do wywołania żadnego specyalnego efektu i niezależny od wewnętrznej rytmiczności uczucia, jest niezbędnym warunkiem utworów modernistycznych. W dalszym ciągu p. K. Sterling zdobędzie prawdopodobnie to przeświadczenie, że ogólniko-

wość jest pierworodnym grzechem poetyckim i znowuż niewiele ma wspólnego z modernizmem. Więc jeżeli przewidywania nasze sprawdzą się, już nie spotkamy u poety w żadnym „nastroju“ jękliwych narzekań, że nauka wyziębiła nam serca i pozdzierała świętości z naszych ołtarzy, że nie dano nam wielkich radości, ognia i zapału, że „martwe trawimy (!) ideały, że wiek XIX (potrzebaż zakłócać spokój dogorywającemu?) zmateryalizował się, ukochał „błoto i kał, złoto i szał,“ że świat jest zimny i nie zna uczuć świętej przyjaźni, i głuchy jest na pienia wieszcze — nie spotkamy z pewnością tysiąca podobnych rzeczy, które budzą już w nas dreszcz obrzydzenia! Gdy się to wszystko stanie kiedykolwiek, może częstszymi będą u poety takie wiersze, jakich teraz zaledwie kilka znajduje się w jego zbiorku, jak oto ten: „Dziś anioł ciszy liliową dłoń złożył na moją zmęczoną skroń, i miękie skrzydło biało-różowe pod moją senną podłożył głowę... I zdało mi się, że w szarą dal płynę kołysan całunkiem fal, że nad mą głową płomienne słońce, sypie złocistych iskier tysiące, że każda iskra — to serca czyn, co wzruszy tłumy, co porwie gmin, co ich jak trąby dźwięk archanioła do Panteonu chwały powoła...“

W osobie p. St. Hłaski p. Sterling powitać winien kolegę, bo również, jak on, filozofa. Po za filozofią znajdują się zresztą inne punkty styczne. Obaj posiadają tę samą jasnowidzącą wrażliwość na wdzięki własnych osób. Jeden z nich w odbiciu postaci swej, znać w falach powietrznych, dostrzega osrebrzone przez światło księżycowe włosy, drugi zaś widzi siebie znów w tem samem zwierciedle w aureoli światła słonecznego. „Zabłysło światło. Westchnąłem (a to znów po co?) i w czysty lazur spojrzałem (lustro!), a jasne słońce nad czołem, od smutnych myśli zbielałem, z połysków złotych dyadem uwiło...“ Dyadem ten przecież nie tłumi blasków oczu, „skrzących się bólem.“ Obaj autorowie posiadają w tych warunkach nieprzeparty pociąg do rymowania *blask* i *łask* (domyślaj się: pieszczoty niewieście). Zresztą p. Hłasko tę posiada wyższość nad pokrewnym sobie duchem, że nie wysila się na dziwolągi w pomysłach i w skojarzeniach pojęciowych, że z większą wprawą włada dykcyą i wierszem. Wzamian w sporym jego tomiku nie znajdziemy nic, o co by się zahaczyła uwaga czytelnika, ani jednego utworu, któryby sprawił tak przyjemną niespodziankę, jak parę wierszyków poprzedniego poety, ani cienia jakiegoś oryginalnego spostrzeżenia, jakiejś refleksyi, jakiegoś osobistego drgnienia serca, choćby wyrażonego nieudolnie, jak się to przecież zdarza K. Sterlingowi. Biedny poeta! Tak gorące modły zanosi do Fantazyi, tak stara się upewnić, że na przyjęcie jej przybytek już wzniesiony! „Królowo! władczyni! Ja czekam cię już! Przyjdź do mnie, olbrzymia, jak wulkan szalona, w w płomiennej girlandzie z narcyzów i róż! I pochwyć mnie w swoje bronzowe ramiona!. Jam gotów, jam pełen młodości i sił! Jam twój oblubieniec... o, przyjdźże!“ Lecz głos wsiąka w próżnię. Nie przychodzi, i ramion bronzowych nie otwiera! Nie chce! A filozofia biednego poety, nie mogąc oprzeć się na ramieniu skrzydlatej niebios mieszkanki, wlecze się biedaczka ubitym szlakiem, miast szybować w przestworach, ku którym tęskne rzuca spojrzenia. Rzuca je bądź co bądź. P. A. Lange, nim będzie miał pociechę z p. Leśmiana, musi zadowolić się przeświadczeniem, że doczekał się przecież ucznia w St. Hłasce. Przedmiotem rozmyślań tego poety są zazwyczaj takie tajemnice, jak wieczność, duch, przyroda; lubi on zapuszczać się w „bezdenność atomów“ (?), gdzie byt i niebyt się poczyna, pisuje sonety astronomiczne... Co prawda, pociecha z tego ucznia niewielka, ze względu na idealizm p. Hłaski, ów idealizm ze szkoły Janina, autora wdzięcznego poematu o Adasiu w raju: „ostrożnie, to i grzechu nie będzie.“ „Stawcie świątynię wielkiej wszechnaturze, która bytuje w każdej wód kropelce... Zimnego sobie czcijcie boga, mieniąc się w świecie najmędrszymi z ludzi, ja zaś, ze mną *ciżba ludzi mnoga*, czcimy od wieków...“ Ostrożne dreptanie doprowadziło autora do dość niespodziewanego wniosku, jakoby „Ten, kto taką nieskończoność stwarza, wręcz się z rozumów ludzkich naigrawa.“ Po co mu to? I czy to istotnie rys zgodny z pojęciem nieskończoności? Zresztą autor najczęściej obraca się w kole prawd katechizmowych i pojęć elementarnych, przybierając urzędowo rozmodloną postawę, która ma oznaczać oderwanie się myśli od przedmiotów ziemskich. „I pragnę lecieć w ciemną toń lazurów i płynąć wiecznie w bezgranicznem niebie. Kiedyż, o panie, z tych potwornych murów wyrwiesz mą duszę i weźmiesz do siebie?“ Za obowiązek też swój p. Hł. uważa wygłaszanie co krok *memento mori*. Jednej kochance za cnotę obiecuje wieczną szczęśliwość, drugiej zaś każe zrywać się w przerażeniu, gdy doszły jej śpiewy procesyi: „W płomieniach lubieży spaliłeś mię, o ziemi szepcząc kłamnie, a oto patrzaj: lud ten w ducha wierzy.“ O, jest na niegrzeczne dzieci rózga, jest! Czyli: myszy tańcują, gdy kota nie czują...

Z powyższego wynika, że i miłosne uniesienia p. Hłaski, wielce go zaprzątające, utrzymane będą w karbach cnotliwości, spogląda bowiem na kochankę „okiem ducha.“ Po za luźnie z „księgi miłości“ (niby *Buch der Lieder*) wyrwanemi kartkami stworzył on nadto „Tatry“ (niby „W Szwajcaryi“) -- górską sielankę w słodko-czułoromantycznym tonie. „I spoglądając na górskie ogromy, czułem, że duch mój jest stokroć szczytniejszy, niżli Tatr łańcuch wysoki a stromy (bagatela!), że zaś ból tak wielki, że nic go nie zmniejszy. I z Tatr na ciebie przenosząc spojrzenie, czułem, że jesteś na świecie jedyną, która mi dajesz tak wielkie myślenie (?), że w niem największe szczyty zwątpień giną.“ Symbolizm! Wszelako myśl o doczesności wszystkiego, co ludzkie, żałobnym welonem okrywa zachwyty kochanka, zarówno jak dociekania myśliciela. „A kiedy przyjdzie śmierć do mnie, chcę abyś usty czystemi, których odmawiasz tak skromnie, mnie pocieszyłaś na ziemi.“ — „A kiedy moja trumna zgnije na próchno, ty moje czoło przeżegnaj leciuchno.“ Może i ten rym pewnej nieznanej światu poetki przyda się autorowi. Czuły jest.

Pominęliśmy najoryginalniejszy, acz niezbyt obszerny dział natchnień p. Hłaski. Rozważanie rzeczy niebieskich, zarówno jak widok ziemskich, budzi w nim „wizye,“ bardzo niezwykłe i dziwne, bo obywające się bez wizyj, zupełnie tak, jak „Nastroje“ p. K. Sterlinga, wyszły w świat, pogubiwszy wszelkie nastroje. A może opisy różnych miejsc we Włoszech, zdobne w refleksye o znikomości stworzenia itd., dlatego są nazwane przez autora „wizyami italskiemi,“ że różne cuda oglądał oczami ducha jedynie? Kto wie, może. Dlatego pewnie opisy są tak blade. Zabarwia je niekiedy oczytanie się w Krasińskim. Podobnież „wizya pogrzebowa“ jest odgłosem „marsza pogrzebowego“ Ujejskiego. „I dotyka moja głowa katafalku czarnych stóp. Za co karzesz mnie, o Boże? czemu ono śpi? Po co złote świateł morze? Boże, powiedz mi... Pieśń z powietrznych płynie fal, a przede mną trumna płynie w nieskończonej snów krainie i w otchłaniach mroków ginie, a me serce pali żal.“ I to jest najpiękniejszy ustęp, stworzony przez „wieszcza dumnego,“ jak się sam skromnie nazywa.

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Widma Moniuszki.

II.

Moniuszko nie napisał „Widm“ w stylu operowym, ale raczej w formie kantaty, złożonej z intrady i dwunastu oddzielnych numerów; dlatego też utwór ten uważano pierwotnie za estradowy i wykonywano na koncertach. Dopiero po raz pierwszy we Lwowie pokuszono się o inscenizacyę, która nie wypadła nawet świetnie z powodu skromnych środków technicznych i braku odpowiednich pomysłów reżyserskich. Zachodzi więc podwójna trudność: Mickiewicz nie napisał libretta, tylko poemat książkowy, Moniuszko nie napisał opery, tylko utwór estradowy; potrzeba więc jakiejś trzeciej siły, któraby do słowa i tonu skomponowała sceniczny obraz i wymyśliła grę aktorów. Taką siłą jest reżyser o talencie twórczym. Rola ta w Warszawie przypadła p. Chodakowskiemu, a przyznać trzeba, że wywiązał się z tak trudnego zadania w sposób niepospolity. Nie jest to jeszcze ostatni wyraz, z czego p. Chodakowski na pewno zdaje sobie sprawę dokładnie; ale to nie jest jego wina. Najpierw każdy niemal śpiewak musi tu być zarazem znakomitym deklamatorem i aktorem, niepodobna wymagać tego od artystów, wychowanych w atmosferze włoskich oper. Następnie wszystko a wszystko trzeba samemu wymyślić, brak jakiejkolwiek tradycyi, doświadczenia, jest to jednem słowem rzecz nowa. Ale ta nowa rzecz nie spadła na ziemię z księżyca, tylko przez dwóch geniuszów została wysnuta z duszy ludzkiej i to duszy swojskiej. Więc p. Chodakowski nie odbył pielgrzymki po teatrach europejskich, nie sięgnął do zapylonej tradycyi, jeno zaapelował do tej duszy i pokonał trudności. Odczuł Mickiewicza i Moniuszkę, odczuł i starał się przelać to w swoich kolegów. Tym sposobem literatura operowa polska zyskała dzieło, któremu pod względem oryginalności, głębokości i poezyi niema równego na całym świecie. Nie starałbym się bynajmniej o przeniesienie „Widm“ na inne sceny słowiańskie, lub na sceny francuskie, niemieckie itp. Kto chce „Widma“ ujrzeć i zrozumieć, niech przyjeżdża do Warszawy. Nie my na tem stracimy, jeżeli inne narody ich nie poznają. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen“; więcej nawet: w pewnych wypadkach może ocenić dane dzieło tylko wtedy, jeżeli wykonawcami tego dzieła są rodacy autora i jeżeli ci wykonawcy pozostają pod wpływem swojskiej publiczności.

Geniusz Moniuszki stworzył w „Widmach“ jedno z tych arcydzieł, których wielkość polega nie na jakichś przez teoryę zapowiadanych a następnie przez nią wyjaśnianych i uzasadnianych inwencyach, ale właśnie na czemś nieuchwytnem, mistycznem, na czemś, co ani z przeszłością sztuki, ani z jej przyszłością w żadnym związku nie stoi. Wszak literatura świata ma dość utworów religijnych, przeróżnych mysteryów, oper, kantat, oratoryów, przepełnionych śpiewami dobrych i złych duchów; a przecież czegoś, co byłoby zbliżone do „Widm,“ nie posiada zupełnie. Bo też tekst Mickiewiczowski łącznie z muzyką Moniuszki stanowią dzieło, które porusza w nas duszę od stóp do głów. „Widma“ zastanawiają prostaczka i myśliciela, filozofa i poetę, historyka i socyologa, a ponieważ w każdym niemal słuchaczu odnajdzie się cząstka jednego, drugiego i trzeciego, przeto możemy śmiało powiedzieć, że działają one na całego człowieka, poruszają wszystkie uczucia, bądź to osobiste, rodzinne, czy gromadzkie, a zara-

zem stawiają nas zewnątrz nas samych i naszego życia, w jakiemś filozoficznem oddaleniu, abyśmy w siebie i w nasze życie spojrzeli wzrokiem ducha, przybywającego na Dziady po szczyptę tego, co mu jest potrzebne do jakiegoś moralnego zbawienia...

Mickiewicz objaśnia w przedmowie, że śpiewy obrzędowe, gusła i inkantacye brał wiernie, a niekiedy dosłownie z poezyi gminnej. Czy i Moniuszko postąpił w ten sposób, czerpiąc z muzyki gminnej swoje zaklęcia i zażegnywania, tego nie wiemy; ale całość wywiera wrażenie takie, jak gdyby w tym utworze wyśpiewaną została nie dusza samego kompozytora, ale dusza tego gminu całego, który nocą wchodzi do kaplicy, wzywa zmarłych, obcuje z nimi i wreszcie z przerażeniem zaczyna pojmować, że w świecie duchów zaszły jakieś nadzwyczajne rzeczy, że wtargnęły tam widma z plamami na piersiach i że przeto stary ład został zakłócony przez niezwykłe wypadki. Nie zapominajmy o tem, że poema Mickiewiczowskie zaczyna i kończy się nocą Dziadów, że w końcowym ustępie pojawia się upiór Judaszowy z rozżarzonym dukatem we łbie, a któremu stopione srebro dłoń piecze, i wreszcie duch z niezliczoną ilością ran na ciele i w sercu, zadanych bronią, i z jedną niewielką czarną kropelką na czole, kędy ranę sam sobie zadał. Ale czem? Może ostrzem lub kulą było—pytanie, po którem szatany chichocą a aniołowie załamują ręce?

Blade Widmo, zwane przez guślarza duchem młodym, nawiedzający księdza pustelnik, Gustaw i Konrad — toć to jedna osoba. Rzucona na szare tło gminu—jakież przejdzie koleje? Jedni go będą egzorcyzmem chłostać, drudzy uciekną zdziwieni... A straszny jest ten egzorcyzm gminu szarego. I może u szczytu poetyckiego jasnowidzenia był Mickiewicz, kiedy tę scenę kreślił, a zarazem głębokim i sprawiedliwym mędrcem, korzącym się przed tym „vulgus profanum“ i jego możliwym historycznym wyrokiem.

Mamy więc w Teatrze Wielkim arcydzieło wykonane świetnie, publiczność zapełnia wszystkie miejsca na każdem przedstawieniu, zachowując się niezwykle. Po opadnięciu zasłony tu i owdzie odzywają się tradycyonalne oklaski, skąpo, niezwykle skąpo. Wręczono wprawdzie na ostatniem przedstawieniu wieniec p. Młynarskiemu za znakomite kierownictwo muzyczne. Ale czy to ów teatralny entuzyazm? A co dziwniejsze, że wykonawcy nie doznają zawodu, jakoś tym razem niepotrzebny im szał publiczności, która milczy po jednem przedstawieniu, aby znowu na następnem zająć wszystkie miejsca. Odpowiedź prosta. Oh, tak się słucha arcydzieła i w ten sposób działa arcydzieło!

A. N.

ODCZYTY.

St. Belza: *W Pirenejach.*

W sobotę, 3 marca, dorocznym zwyczajem rozpoczęły się odczyty na korzyść „Osad rolnych.“ Na katedrze stanął p. Belza, adwokat i podróżnik, znany autor opisów Danii i Apenin, Finlandyi i Sycylii. Tym razem zaprowadził nas prelegent-*cicerone* na stoki gór Pirenejskich. Maniera literacka Belzy jest znaną i dlatego też kilku słów zaledwie wystarczy, aby czytelnikowi naszemu przypomnieć, że na odczyty Belzy chodzić niewarto, a książki jego czytać — szkoda czasu. Maniera ta przed wielu laty doskonale scharakteryzowaną została przez znanego poetę W. Gomulickiego, co jednak nie odstraszyło odważnego a ciekawego podróżnika i nogi jego ze strzemienia nie wyważyło. W Pirenejach bawił, marzył i opisał je genialny Francuz, Taine, a jeśli kto z inteligentnych czytelników ciekaw, poszuka wrażeń pod wodzą Taine'a, a nie Belzy. Bo odczyt wogóle czynił wrażenie jakiegoś luźno *ad hoc* sfastrygowanego kostyumu z przeróżnych wykrawków i wycinków: dane naukowe, etnograficzne, społeczne — nie przekraczały poziomu wiedzy, zawartej w byle jakiej encyklopedyi, w byle jakim „Baedekerze“; autor lubował się w opowieści o onej bajecznej Pirenie—i zdawało nam się, że ją bierze na seryo...

Że p. Belza nie posiada żadnych zdolności literackich, ani krasomówczych, że nie zna się na antropologii i etnografii starożytnej Francyi, że jest nudny i pretensyonalny, że, reklamując wodę z Lourdes, uznał za stosowne spotwarzyć *nikłe światło rozumu*, że niesmacznie i nie wiedzieć po co cytuje „Romantyczność“ — to nas nie obchodzi. To obchodzi tylko p. Belzę. Obchodzić to jednak winno komitet, urządzający odczyty. Te ostatnie przed laty cieszyły się znacznem powodzeniem nietylko... materyalnem. Odczyty są dla naszej publiczności inteligentnej przysmakiem równie rzadkim a drogim, jak książka dla chłopa. Należy tedy w urządzaniu ich przestrzegać surowo a troskliwie celowości i odpowiedniości. To, co będzie doskonałem dla publiczności szerokiej w teatrze ludowym, w promieniu kuratoryów trzeźwości, to w sferze inteligencyi jest zupełnie chybionem, śmiesznem i szkodliwem. Bałamutne a nużące opowieści p. Belzy, ilustrowane (mało udatnymi zresztą) obrazami niknącymi, mogłyby znaleźć żywe echo śród publiczności niewykształconej i śród młodzieży szkolnej. Ale chyba odczyty na Osady Rolne inną publiczność mają na celu? A że komitet tę drobnostkę przeoczył i, goniąc za zyskiem materyalnym, zupełnie zapomniał o wymaganiach umysłu naszego, tedy — zapisujemy mu to przewinienie w raptularzyku jego zasług i grzechów społecznych.

O prawdę.

Szanowny Panie!

W numerze 9 *Prawdy* w artykuliku p. t. „Co to jest?“ zauważyłem parę fałszywych przytoczeń z notatki mojej o p. K. Sterlingu, drukowanej w *Kuryerze Warszawskim* d. 26 lutego r. b.

Otóż te fałszywe przytoczenia służą autorowi artykuliku za przesłanki do pewnych wniosków, z któremi polemizować nie mam najmniejszego zamiaru. Natomiast prostuję je niniejszem dlatego poprostu i jedynie dlatego, że są fałszywe.

Autor artykuliku twierdzi, że ja wyrażenie p. K. Sterlinga: „Ciało psa martwe, strzaskane,“ uważam za „błąd językowy.“ Otóż tak nie jest. Natomiast uważałem i uważam, że „ciało psa *martwe*...“ nie może „lizać ręki“ niczyjej — chodziło więc o błąd *logiczny*, nie zaś *językowy*.

Dalej, autor artykuliku przytacza podkreślone przeze mnie wyrazy o p. K. Sterlingu: „tak może pisać tylko ktoś, *piszący nie w swoim, nie we własnym języku*“ i twierdzi, że słowa te ściągają się jako zarzut do narodowości p. K. Sterlinga.

Tymczasem w notatce mojej podkreśliłem nie tę jedną, lecz *trzy konkluzye* o p. K. Sterlingu, *stylowo i logicznie ze sobą związane*, a mianowicie:

Tak może pisać tylko ktoś, kto: 1) „nie patrzy *własnemi oczyma*,“ 2) „nie myśli *własnemi myślami*,“ 3) „nie pisze *w swoim, we własnym języku*.“

Można każdą z tych konkluzyj oderwać od dwóch pozostałych i nawiązać do niej dowolny, a patetyczny wniosek, np. o stanie wzroku, umysłu lub o pochodzeniu p. K. Sterlinga.

Jest jednak rzeczą jasną, iż razem wzięte dotyczą one bynajmniej nie *narodowości*, lecz *indywidualności artystycznej* p. K. Sterlinga, którą też w notatce krytycznej jedynie miałem na względzie.

Wyrazy szacunku łączę

Antoni Potocki.

Z dwóch rodzajów ujemnej odwagi stosunkowo lepszym byłby ten, któryby p. A. Potockiemu kazał się przyznać szczerze do zamiaru wyrządzenia p. S. krzywdy, niż ten, który mu każe zbyt jasnym słowom nadawać wykrętne znaczenie i obarczać nas zarzutem „fałszu.“ Chociażbyśmy nawet wyrażenie: „ciało psa martwe, strzaskane“ przenieśli do kategoryi błędów „logicznych,“ to pozostają inne, które p. P. wytknął a my przytoczyliśmy i które tylko chęć szykany piętnować mogła. Zresztą nam nie o to głównie chodziło, ale o podkreślony wniosek, który zawierał oczywistą zniewagę, dostrzeżoną i skarconą również przez *Głos*. P. Pot. twierdzi, że jego słowa: „tak może pisać tylko ktoś, piszący *nie w swoim, nie we własnym języku*,“ dotyczą „nie narodowości, lecz indywidualności (!) artystycznej p. St.“ To nam przypomina jedną z owych sztuk, w których magik woła: Szanowna publiczność widzi szpadę — połykam ją — kicham i wylatuje mi z nosa królik. W tę przemianę szpady na królika tem trudniej nam uwierzyć, że p. P. nie po raz pierwszy używa w krytykach literackich swojego młotka do cechowania Żydów piszących po polsku. W notatce o poezyach p. W. Sterlinga powiada: „p. S. *napróżno siłi się* oddać nastrój rodzimych *moich* dębów, klonów, sosen, lip, wierzb itp.“ Ponieważ p. S. nie opiewał dębów, buków itp. p. Antoniego Potockiego, lecz polskie, więc łatwo dostrzedz, gdzie tkwi szydło.

Pragniemy tylko jednego skutku z tej polemiki: ażeby p. P., a przedewszystkiem redakcya najbardziej rozpowszechnionego pisma zastanowiła się nad tem: jaki może być plon z tak złego siewu?

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Władza wyjaśniła, iż osoby pociągnięte do kary za nieprawne posiadanie broni, nie mogą otrzymywać na nie pozwolenia w przyszłości.

— Korespondent *Kuryera Warsz.* pisze: „Sandomierz, liczący przeszło 6,000 mieszkańców, i posiadający zjazd sędziów pokoju (i sąd okręgowy, zjeżdżający na kadencye), sąd pokoju i sąd gminny, ubogo uposażony jest w obrońców. Osoby, poszukujące porady prawnej, zmuszone są udawać się po nią do adwokatów radomskich. Adwokat lub pomocnik adwokata miałby w Sandomierzu klientelę liczną, zapewniającą mu utrzymanie przyzwoite. Zachętą, oprócz materyalnych korzyści, powinno być to, że miasteczko jest schludne, posiada dobre powietrze, żywność i mieszkania tanie.“ Takie unikanie prowincyi przez naszych prawników jest właśnie jedną z głównych przyczyn rozwoju pokątnego doradztwa.

— W pismach codziennych czytamy coraz częściej wiadomości o ucieczkach złodziei z aresztów lub z drogi, pomimo straży. Zdarza się to najczęściej w powiecie Nowomińskim. Najcharakterystyczniejszem wszakże jest zdarzenie następujące podane w *Kuryerze Warsz*: Dwu złodziei okuto w kajdany i nazajutrz pod eskortą *sześciu* stróżów odesłano do Nowomińska. Więźniowie upatrzywszy stosowną chwilę, jednym susem skoczyli razem z wozu i czmychnęli do lasu. Pomimo zarządzonej natychmiast obławy, zbiegów dotąd nie ujęto. Godnem zaznaczenia jest to, że obaj więźniowie okuci byli razem w kajdany.“

— *Warsz. Dniewn.* donosi: „W sobotę, d. 3 marca, komisarz do spraw włościańskich, p. Grigorjew, wespół ze sztab-rotmistrzem mitawskiego pułku dragońskiego, p. Lechowiczem, urządzili w Częstochowie odczyt ludowy p. t. „Cesarz Aleksander II,“ z towarzyszeniem obrazów niknących. Na odczyt

wezwani byli włościanie i żołnierze oddziałów, konsystujących w Częstochowie. Orkiestra wykonała kilka utworów. Odczyt zakończono hymnem „Boże Cesarza chroń,“ przyjętym entuzastycznymi okrzykami „hura.“

— Komisya praw i ekonomii większością głosów zatwierdziła wniosek p. Mechelina, posła do sejmu finlandzkiego, osnowy następującej: „Od dziś kobiety na równi z mężczyznami mogą być wybierane na wszystkie urzędy publiczne w miastach. względem obowiązków kobiet przyjmowania i obejmowania takich urzędów, tudzież względem prawa uchylania się od nich, zachowują moc obowiązującą te same przepisy, jakie dotyczą obywateli płci męzkiej.“

Szkoły. Uniwersytet warszawski podniósł opłatę za naukę w Instytucie ginekologicznym z 20 rb. do 30.

Prasa. Od kwietnia zacznie wychodzić w Krakowie *Architekt*, miesięcznik poświęcony sprawom architektury, budownictwa i przemysłu artystycznego, pod redakcyą p. W. Ekielskiego. Organ ten powstaje dzięki zabiegom Towarzystwa technicznego.

— Prof. Wojciech Gerson otrzymał koncesyę na dwutygodnik p. t. *Świat artystyczny*. Nowe czasopismo będzie poświęcone sztukom plastycznym.

— P. Józef Pawłowski otrzymał koncesyę na wydawanie w Warszawie tygodnika artystyczno-literackiego p. t. *Piękno*.

Muzeum sztuk pięknych. Zapowiedziane otwarcie od Nowego roku „Muzeum sztuk pięknych“ w lokalu domu Neprosa, na placu Teatralnym, odłożono do [illegible] nieograniczonego. Powodem [illegible] spodziewanej zwłoki jest to, że władza ministeryalna nie zgodziła się na budowę własnego gmachu z funduszu miejskiego, a nadto nie zatwierdziła zapomogi kasy miejskiej na wynajęcie i konserwacyę lokalu, w sumie 2,000 rb. rocznie, czyli, że jeżeli pomyślniejszy zwrot nie nastąpi, zbiory zawiązującego się muzeum pozostaną bez pomieszczenia i zapewne po dawnemu złożone będą na składzie.

Poczta. Na kolejce wązkotorowej między Warszawą a Radzyminem wprowadzono przewóz poczty.

Alkoholizm. Francya liczy obecnie na 36 milionów ludności — 4 miliony alkoholików. Na 100 wypadków zabójstwa — 65 bywa popełnianych w stanie podniecenia alkoholicznego. Obliczają, że alkoholizm zabiera robotnikom francuskim 1 miliard 340 milionów w zarobkach, 71 milionów w kosztach za leczenie itp. W roku 1880 — w departamencie „Meurthe et Moselle“ spożyto alkoholu 12 000 hektolitrów, w r. zaś 1898 — aż 20,000.

Koncert na rzecz Kasy literackiej odbędzie się w salach Redutowych d. 13 marca.

Co to jest bank? Dziennik *Rosya* tak odpowiada na to pytanie (według *Gaz. Łódz.*). „Jeżeli chcecie się dowiedzieć, co to jest bank, to zabierzcie znajomość z bankierem, wejdźcie z nim w taką przyjaźń, aby nie brał od was komisowego. Weźcie sto rubli i rozmieńcie je u niego w kantorze na franki, następnie franki na sterlingi, sterlingi na guldeny, guldeny na marki, marki na dolary, dolary na liry, liry na korony, korony na pesety, pesety na dynary, dynary na piastry, piastry na drachmy, drachmy na skrupuły... chciałem powiedzieć — na ruble. Otrzymacie 2 rb. 75 kop. A jeszcze nie pobrano od was komisowego. Oto co jest bank.“

Zmarli. Edward Roemer, artysta malarz, w Tro-[illegible]

— Karol Młodnicki, artysta malarz, we Lwowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Inżenierowi z Kijowa. W zupełności podzielamy oburzenie Pańskie. W miarę możności zwalczamy stale i nie od wczoraj wszelką w złej wierze i w obłudzie poczętą tandetę literacką. Sądzimy jednak, że protesty nie tu nic pomogą, wywołają bowiem tylko potoki jałowej polemiki; zamiast tego wolimy pozytywnie współdziałać krzewieniu zdrowych pojęć o sztuce.

Prenumeratorowi. Takiego dziennika, niestety, [illegible]

Panu J. H. w Dąbrowie Górniczej. 1) Nie. 2) Numery wyczerpane.

W. P. Przekład niestaranny.

Z. L. D. K. Wydanie drugie „powiększone i przerobione“ wyszło nakładem Br. Natansona (str. 280, cena rb. 1 kop. 20). Przejrzeć książkę może Szan. Pani w Czytelni Nankowej (N. Świat, 62).

Panu H. Kip. w Warszawie. Artykułów tłomaczonych nie zamieszczamy.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Февраля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.